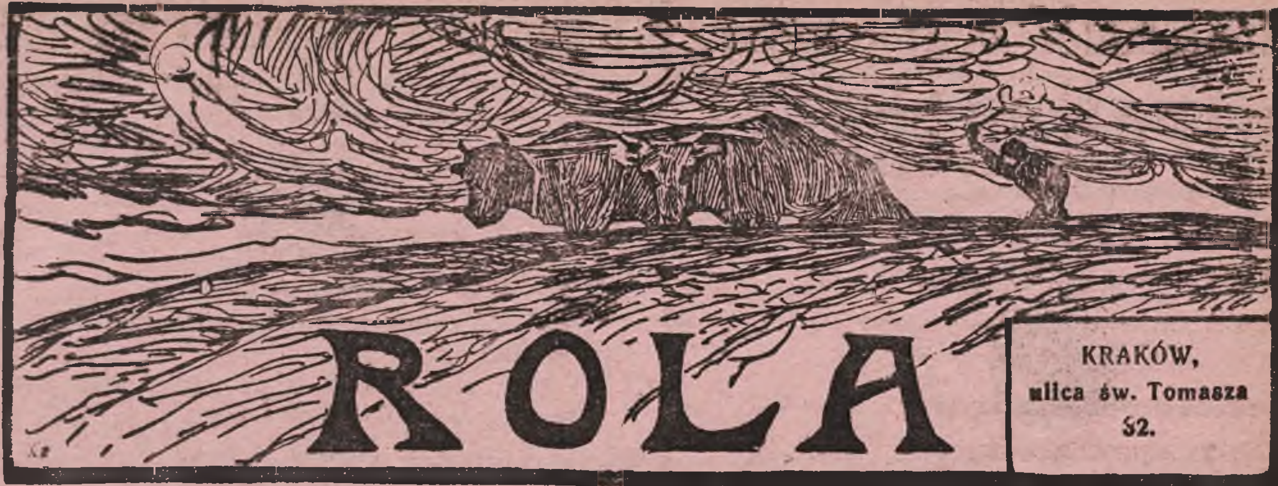
Numer 23. Nal. poczt. opł. rycz. **Dnia 3 Czerwca 1928**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Na koncercie.

Podczas koncertu pewien pan rozmawia głośno ze swą towarzyszką.

— Moi państwo — prosi szeptem ich sąsiad — jeśli chcecie rozmawiać, mówcie chociaż ciszej!

—Co pan sobie myśli? To moja żona. Co sobie mamy do powiedzenia, to mogą wszyscy słyszeć! — odpowiada oburzony małżonek.



Zapomniana sól.

Mamusia kąpie swe najmłodsze bobo, a przygląda się temu ciekawie trzyletnia siostrzyczka. Nie ma pod ręką pudru, więc chce już małego zawinąć. Mała Zosia przynosi jednak puder i podaje go mamie z wyrzutem:

— Mamusiu, zapomniałaś małego posolić!



W chederze.

Icek: — Powiedz rebe czy Jehowa jest wszechmocny?

Rebe: — Pewno, że wszechmocny.

Icek: — No, to czem on pobije atutowego asa?

Fałszywe posądzenie.

Pani (do żebraka): — Udajecie ślepego, a czytacie gazetę...

Żebrak: — Bardzo się pani myli, bo ja nie czytam, tylko oglądam obrazki.



Znaleziony guzik.

— Panie kelnerze! widzi pan w mej zupie znalazłem guzik?

Kelner, zadowolony, odpowiada uśmiechnięty:

— O! dziękuję bardzo! To właśnie guzik od moich spodni, którego nie mogłem w żaden sposób odnaleźć. Nie wiedziałem gdzie i kiedy mi zniknął.



Omylił się.

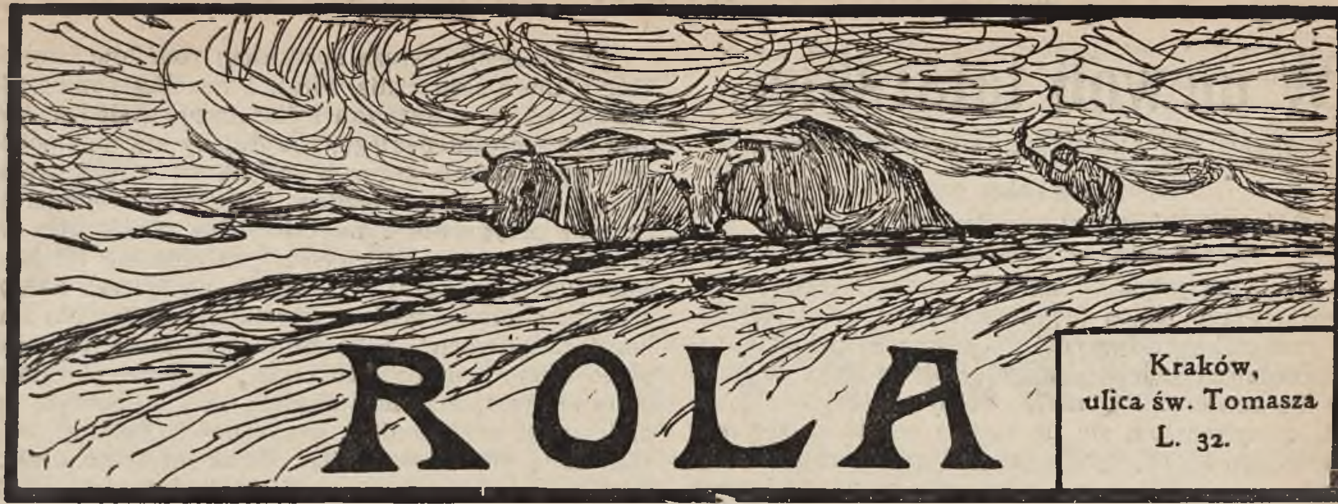
— Wręczam panu sto złotych gratyfikacji: jest to nagroda za to, że przez cały rok ani razu się pan nie omylił!

— Z jednym wyjątkiem, panie pryncypale...

— Mianowicie?

— ...Sądziłem, że otrzymam conajmniej 200 złotych gratyfikacji.

Numer 23. XI. Rok Kraków, dnia 3 Czerwca 1928.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301

Starsi a młodzież dzisiejsza.

Nie ulega wątpliwości, że wielka wojna światowa poczyniła w życiu społecznem przerażającc luki. Obniżyła w wysokim stopniu naszą ewolucję duchową, w każdej warstwie w każdym wieku i w każdym stanie. Obniżyła ją nietylko w ważnych szczegółach życia jak moralność i wychowanie, ale i w drobnych szczegółach i u osób, które nie uległy ogólnej falandze „prądu czasu" dają się spostrzec ogromne braki. Jednym z pośród wielu, najbardziej nas uderzającym jest ciągłe narzekanie starszych na młodzież dzisiejszą, zwłaszcza po wsiach, gdzie starsi nie mogą się w żaden sposób oswoić z nowoczesnemi poglądami. Usuwają się na bok od wszystkiego. Obowiązek ojca, matki, przełożonych chcieliby zbyć samem li tylko narzekaniem. Dzisiaj młodzi!? Dzisiejszy świat!? to szkoda mówić nawet.

Takie gderanie, choć nieraz zresztą słuszne, nie powinno jednak znajdować miejsca w naszych sercach. Powinniśmy pamiętać o tem, że młodość ma w sobie werwę życia i zapał, ale ma i swoje głupie chwile. Naszą zasługą na przyszłość, a dziś świętą powinnością jest wykorzystanie młodocianego zapału przez kierowanie młodzieży na dobre tory. Dzisiejsza młodzież porwana z jednej strony prądem czasu i werwą sobie właściwą, a z drugiej strony otrzaskana w zaraniu życia okrucieństwami wojennej zawieruchy, nie zawsze umie i może iść drogą cnoty i uczciwości. A my starsi, jeśli wysuniemy głowę na świat z kąta własnych trosk, to po to jedynie, by grać rolę demagogów i pedagogów. Zapominamy o tem, że jeśliśmy lepsi, to zasługą ojców naszych, którzy umieli nami pokierować i nasze zapały do wyższych nagiąć celów. Umieli też nasi ojcowie nietylko stać twardo przy pługu życia i nieść ofiarnie na ołtarz życia rodzinnego codzienny trud i troski, ale umieli znaleść czas i na to, by nam w dziedzictwie przekazać nasze nawet drobniejsze tradycje.

Weźmy naprzykład nasze wiejskie wesela. Dawniej ojciec, matka choć znużeni życiem za ujmę poczytywali sobie nie brać udziału w zabawie lub weselu ze swemi dziećmi. Toteż i te wesela i zabawy inaczej się odbywały. A my co dziś robimy? Znużeni, zgnębieni troską życia stoimy nad jego taczką, jak pod pręgierzem. Zapominamy, że my mamy święty obowiązek oddania pokoleniu nietylko wiary św. i świętości narodowych ale nawet najdrobniejszych tradycyj i zwyczajów. My to puszczamy w poniewierkę i zapomnienie, a od młodzieży, której nic nie dajemy, żądamy cnót i gorszymy się jej postępkiem, jakbyśmy sami nigdy młodymi nie byli. Ogarnięci duchem samolubstwa i zniechęcenia gotowi jesteśmy krytykować wszystkich i wszystko, niepomni na to, że dawniej młodzież była nawet gorsza, ale miała ratunek, bo lepsi od nas byli wtenczas starsi. Nie umieli bowiem tak krytykować i nie narzekali, ale stali na zagonie ojczyzny gotowi i do tańca i do różańca. Im to po Bogu zawdzięczamy, żeśmy mieli czem ducha posilać w chwilach najcięższej niewoli. Żeśmy przetrwali czas niewoli i niezaprzepaścili ideałów Bożych i narodowych.

A my co zostawimy dla naszych pokoleń? Bądźmyż dla młodzieży pobłażliwsi. Nie patrzmy tak na wysiłki młodzieży naszej, nieraz nawet bardzo piękne, pesymistycznie. Oddajmy uczciwie sumiennie to, co nam oddali nasi ojcowie bez spaczenia, a niezawodnie będzie lepiej. Pamiętajmy, że jak nic nie ginie we wszechświecie, tak nie zginie i najmniejszy sumiennie spełniony obowiązek i choć zaraz nie widzimy skutków jego, zawsze on odbije się swoim echem w późniejszem pokoleniu. Mniej zatem narzekania a więcej pracy i ofiarności, a młodzież napewno będzie lepsza.

„Jerychonka"

W niewoli tatarskiej.

Powieść z XVI wieku osnuta na tle historycznem

XVII.

Odjazd z klasztoru. — Powrót. — Matka Spartanka. — Błogosławieństwo.

Z wiosną jakoś — mówił Janek — zatrzymała się przy górze Athos piękna galera, z której wysiadła gromadka pielgrzymów, pragnąca zwiedzić tutejsze miejsca święte, a wkrótce się ułożyło, że mnie ze sobą zabiorą. Nie mając czem zapłacić za przejazd, zobowiązałem się na statku pełnić służbę marynarza, do której byłem przez Turków zaprawiony. Przed samą Wielkanocą, odbywszy spowiedź i przyjąwszy Komunję świętą, poraz pierwszy w życiu, otrzymałem błogosławieństwo Ojców zakonnych i opuściłem progi gościnnego klasztoru, ze łzami żegnając ich i Maksyma, już w habit przyodzianego. Na odjezdnem ojciec Bazyli wsunął mi w rękę sporą kieskę, mówiąc, że to Ojciec przełożony dla mnie wyznaczył na drogę, i tak opatrzony wypłynąłem znów na morze; tym razem bez przygód, odwiedziwszy po drodze Loretto, gdzie się zatrzymywali pielgrzymi, przybyłem do Wenecji.

Nie będę już tu opowiadał o tym cudnym grodzie, co zda się z morza wyrastać. Powiem tylko, że w jednym klasztorze tamtejszym odnalazłem naszą Mirę między zakonnicami, które chorych i rannych pielęgnują i widziałem się z nią i dostałem na pamiątkę krzyżyk koralowy, który oto mam na szyji.

Jednego ranka znów, kiedym wyszedł na wybrzeże, zwane Lido i przypatrywałem się, jak słońce wschodzi, czuję nagle, iż mię ktoś chwyta wpół. Porywam się zdumiony i już sięgam ręką do kordelasa, którym sobie był kupił, bo tam na ziemi włoskiej niemało rozmaitych rabusiów, co to ich „banditti“ albo „bravi“ Włosi zowią, kiedy ten, który na mnie tak niespodzianie napadł, woła, śmiejąc się:

— Signor Giovano — (co u nich znaczy panie Janie) i dalej mnie ściskać i całować. I dopiero poznaję, że to Beppo, towarzysz z wyspy korsarskiej.

Zaczął mi opowiadać, jak to oni na morzu biedowali, nim się dostali za Bożą pomocą na wybrzeże Grecji, jak potem każdy do swojej ojczyzny starał się dostać, jak ów kupiec z Francji zaręczał, że musi mnie z niewoli wykupić, jak on, Beppo, nazbierawszy gąbek i handlując niemi, dostał się wreszcie do Włoch wraz z moim Leszkiem, którego nikomu oddać nie chciał. Wreszcie dowiedziałem się, że Leszka zabrał jakiś pan polski, bardzo bogaty „un Principe polacco“, jak mówił Beppo i jemu też sporą sumkę zostawił. Potem ucieszony chłopak zaprowadził mnie do swojej chatki rybackiej, gdzie znalazłem starą matkę jego, pomarszczoną i ze sporymi wąsami i bródką (jak to niewiasty we Włoszech często na starość miewają), a oprócz tego śliczną Giulettę, z którą się był przez ten czas Beppo ożenił. Wszystko troje tak mnie serdecznie gościli i częstowali, żem zjeść musiał całą miskę ślimaczków morskich w oliwie smażonych, zapić to kubkiem wybornego wina i odprowadzony przez Beppa, wróciłem do mojej gospody. Przy pożegnaniu szepnął mi jeszcze poczciwy rybak, że on już teraz cudzego nic nie bierze, a dzięki Madonnie i signorowi polskiemu, dosyć ma dla siebie i rodziny. Uspokojony o los Leszka, przemyśliwałem już tylko, jak się dostać do kraju.

W Wenecji jeszcze spotkałem rodaków naszych, którzy mnie serdecznie witali i wszelką pomoc ofiarowali. Jeden z dworzan miłościwego Księdza Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, znajdujący się tam podówczas, chciał mnie zaraz wziąć na dwór pana swego, który, jak mówił, każdego uczciwego młodzieńca chętnie przygarnie i na człowieka wykieruje. Ale przedewszystkiem spieszyłem pokłonić się tej Matce Najświętszej, której wizerunek na piersi noszony ochraniał mię lat tyle we wszelkich przygodach i niebezpieczeństwach. I tu mnie widocznie przywiódł palec Boży, bym po tylu latach sieroctwa i tułaczki odnalazł was, mateńko najdroższa i miłościwa, oraz cudownem zrządzeniem Opatrzności Boskiej odzyskał imię przodków moich. Teraz mi tylko brakuje, bym przez chrzest rycerski stwierdził to szlachectwo, spuściznę ojców.

— Mnie się zdaje — odezwał się pan Gozdawa — żeś już waść dostatecznie ochrzczony w tyloletniej niewoli i możesz teraz spokojnie orać zagon ojczysty; ale sprzeciwiać się nie będę, tylko wprzód naradźcie się z panią matką i róbcie, jak wam się wyda najlepiej.

— A ja, za pozwoleniem waszem — wtrącił pokornie Juraś — śmiałbym jeszcze radzić, żeby Janko stawił się u naszego hetmana (Jana Tarnowskiego). Tam dopiero poznać można, co to jest życie i sława, a dla takiego junaka wszędzie podwoje otwarte i żadnej protekcji szukać nie potrzebuje.

Bohowitynowa po chwili milczenia ze złożonemi rękoma, jakgdyby się w duchu modliła, podniosła na syna wzrok, błyszczący męstwem i dziwną jakąś pogodą i rzekła:

— Powtarzam ci, dziecko moje, że ja matka, woli twej krępować nie chcę. Przedewszystkiem należy się służyć tej wspólnej matce naszej, dla której ojciec twój i dziadowie krew swą przelewali. W Bogu mam ufność, że cię nie opuści i strzec będzie tak, jak strzegł przez te ciężkie lata niewoli pogańskiej, a mego bolesnego sieroctwa. Niech cię On błogosławi, jak w tej chwili błogosławi cię matka na wszelkie przygody i zamiary twoje.

Wzruszony młodzian ukląkł, schylając się do nóg tej matki zacnej, która, nie bacząc na własne cierpienie, gotowa była w każdej chwili złożyć ofiarę z tego, co miała najdroższego; ręce jej wzniosły się nad głową jedynaka, a usta szeptały słowa cichej modlitwy. Przez okienko otwarte jasny promyk słońca oświecił matkę i syna, a wszyscy przytomni, ze wzruszeniem głowy pochyliwszy, do błogosławieństwa matczynego dodali uroczyste — Amen.

Maryjka ze łzami patrzała na odzyskanego niedawno, a tak już ukochanego braciszka i nawet Halka-trzpiotka ukradkiem łezkę otarła, choć jej koralowe usteczka jakby do uśmiechu się składały. Piękny był widok tej rodziny, zjednoczonej w jednem, silniejszem nad miłość rodzinną uczuciu.

XVIII.

Obertyn. — Znowu na Jasnej Górze. — Zakończenie.

I odjechał Janko do obozu pana hetmana z Jurkiem razem. Bohowitynową zatrzymali państwo Wincentowie w dworku swoim pod Częstochową, żeby miała opiekę przyjacielską i łatwiej dostawała wiadomości o synu. W owe czasy jeszcze poczty nie było, ani też gazet żadnych nie wydawano, trudno więc było o wieści prędkie i pewne, a te, które dochodziły, tak się, z ust do ust przechodząc, przeinaczały, że im wiary nie dawano.

Raz jednak z klasztoru OO. Paulinów na Jasnej Górze przysłano do dworku Gozdawów jakieś pisanie, które, jak się okazało, było od Janka do matki. Donosił tam o swem zdrowiu i powodzeniu, o wielkiej dobroci pana hetmana i o gotującej się wyprawie na Wołoszczyznę.

Potem do cichego dworku doszły wieści o świetnem zwycięstwie pod Obertynem (22 sierpnia 1530 roku), o wjeździe triumfalnym sędziwego hetmana do Krakowa. Ktoś ze szlachty okolicznej, co był w stolicy w czasie tej uroczystości, opowiadał, jak król Zygmunt za zbliżeniem się hetmana, powstał z tronu i sam już starzec starego wodza do serca przycisnął. Rozpowiadał, jak do stóp króla przywiedziono działa, zdobyte na Wołochach i jeńców, zabranych w bitwie pod Obertynem. I brzmiał rozgłośnie dzwon, „Zygmuntem“ zwany, który niedawno przedtem król kazał ulać i zawiesić na Wawelu; lud zebrany wydał okrzyki radosne, a wszyscy, zwycięstwem upojeni, zapominali o innych niebezpieczeństwach, wiszących nad rzeczypospolitą.

Tymczasem upłynęła i wiosna (1531 roku), a kiedy kłosy złociły się na łanie, znów się w dworku Gozdawów rojno i gwarno zrobiło, bo zawitał tam poczet rycerzy. Przybywali konno i zbrojno; na czele jechał młodzian piękny, o licach ogorzałych i ciemnych włosach, o czarnem oku, z ręką prawą na temblaku; lewą jednak kierował zręcznie karym rumakiem swoim. Przy nim drugi, niższego wzrostu i z jaśniejszym włosem, a niemniej pięknego i dzielnego lica młodzieniec.

To Janek i Juraś, obaj okryci chwałą w bitwie, gdzie przy boku sędziwego hetmana dzielnie się przyczynili do pogromienia wrogów. Janek, ranny w rękę prawą, musiał już porzucić zawód wojskowy, a otrzymawszy od króla jegomości w darze ładną wioseczkę, Nowy-Staw pod Krzemieńcem, spieszył uprawiać zagon ojczysty, otaczając zarazem ukochaną matkę opieką synowską, której tak już potrzebowała. Juraś także, zanim się na nową wojnę zaniesie, spieszył użyć wczasu na wołyńskich niwach, skąd był rodem. Co tak rycerskiego młodziana usposobiło do tęsknoty za wsią i pokojem, przekonamy się niebawem.

* * *

W wigilję Matki Boskiej Zielnej znów — jak zazwyczaj — tłumy pielgrzymów zaległy Jasną Górę wkoło, ale wśród mnóstwa ludu zwraca na siebie powszechną uwagę wspaniała drużyna weselna, która właśnie po ukończonym obrzędzie z kaplicy Najśw. Marji Panny wychodzi. Ludzie przepuszczając ją, rozstępują się, ale wszystkie głowy, ciekawie naprzód pochylone, ścigają wzrokiem szczególne dwie pary państwa młodych, które wśród grona swych krewnych wychodzą właśnie z kościoła.

— To braniec tatarski — szepcą, roztrącając się ludzie wokoło, a Janek w pięknym granatowym żupanie, płaszczu karmazynowym i kołpaczku o pysznem, czaplem piórze na głowie, lewe ramię podaje hożej, czarnobrewej Halce, w białej, łabędzim puszkiem bramowanej jupce i takimże obcisłym kabaciku, a zielonym wianeczku, z pod którego bujne krucze włosy do kolan prawie spływają.

W drugiej parze postępuje Juraś ze złotowłosą, w białą sukienkę przybraną Maryjką, także u ołtarza pobłogosławieni. Dalej Bohowitynowę prowadzi zacny pan Gozdawa, a za nimi inni weselni goście postępują, między nimi nie brak także i smukłego, jasnowłosego Leszka, odszukanego z łatwością i to w Krakowie, gdzie pierwszy poznał swego młodego opiekuna z czasów pobytu w niewoli muzułmańskiej.

Jak się później raczono w modrzewiowym dworku, nim się obie pary młode w drogę na Wołyń puściły, opowiadać już nie będziemy, bośmy tam nie byli, „miodu i wina nie pili“...

KONIEC.

Św. Aniela Merici a wychowanie.

Gdyby nam ktoś zadał pytanie, czego najbardziej w życiu pragniemy, o jak różne otrzymałby odpowiedzi. A wiele z nich byłoby takich, po których spełnieniu się, natychmiast inne niemniej ważne pragnienia stałyby się celem naszym. Człowiek jednak powinien mieć jeden główny cel w życiu, cel wskazany przez najrozumniejszego Nauczyciela — Chrystusa, a wokoło niego skupiać inne pomniejsze, dozwalające nam godzić harmonijnie swe pragnienia z dążeniami otaczającego nas społeczeństwa, dochodzić do wyższych celów duchowych najwłaściwszemi drogami. Tymczasem, gdy weźmiemy do ręki gazety, gdy słyszymy, co się po naszych wioskach i miastach dzieje, przekonamy się, że wielu z naszych rodaków takiego celu, ideału życia nie ma. Olbrzymia ilość dzieci wiejskich rośnie, jak dziczki, ni same nie są i nie będą szczęśliwe ani w ogólnej pracy społeczeństwa nie zajmą korzystnego udziału. Czy to nie smutny objaw, że w niepodległej Ojczyźnie młodzież niektórych wiosek, co niedzielę, zamiast przeczytać coś dobrego, wieczorem wraca pijana od żyda? Albo, gdy w gminie rzekomo katolickiej, znieważa krzyż z wizerunkiem Chrystusa, a czy trzeba wspominać o moralności niektórych?

Nietylko na wsi trafiają się te smutne objawy, bo choćby tylko w ostatnich tygodniach także wśród młodzieży kształcącej się, zdarzyły się liczne, tragiczne wypadki, w Łodzi np. zastrzelił się uczeń siódmej klasy, w Święcianach, uczeń strzelił do profesora, a następnie odebrał sobie życie, w Przemyślu, uczeń klasy piątej uderzył profesora i rzucił się pod pociąg, w Stryju, uczennica pozbawiła się życia i cała litanja takich smutnych wypadków. Z drugiej strony przyznać trzeba że tak wiejska, jak i miejska młodzież polska w większości swej jest zdrową, pracuje pilnie, kształci się, dąży do lepszej przyszłości Ojczyzny. Jeżeli zaś kto źle postępuje, czy to wyłącznie jego wina? Większość może z nas zgodziłaby się, że nie. Olbrzymie znaczenie na życie każdego człowieka wywiera wychowanie. Można powiedzieć, że z małemi tylko wyjątkami, jakie kto odebrał wychowanie, takim będzie człowiekiem. Wychowuje zaś człowieka szkoła, środowisko, w którem przebywa, gazety i książki czytane, lecz największy wpływ posiada wychowanie w domu rodzinnym, wychowanie matki. Niema chyba matki, któraby nie pragnęła szczęścia swego dziecka, bardziej nawet, niż własnego, każda więc matka chciałaby wychować dobrze swoje dzieci, a jeśli czasami tak nie wychowuje, to nie wina jej złej woli, lecz jej nieświadomości, a następstwem jej owe smutne, wspomniane wypadki. W tej tak ważnej sprawie wychowania, niektórzy ludzie położyli ogromne zasługi.

Jedną z tych świetlanych postaci, jest Włoszka, rodem, św. Aniela. Urodziła się wr. 1474 w miasteczku Desenzaro nad jeziorem Garda, w najpiękniejszej okolicy Włoch. Na jeziorze Lago di Garda, długiem około 7 mil, a 1—2 mile szerokiem, krążą liczne łodzie. W okolicy rosną strzeliste cyprysy, drzewa laurowe i oliwne, winnice, a pobliskie góry alpejskie bieli śnieg. W takiej to pięknej okolicy młoda Anielcia spędziła swą młodość, a w pobliskiej Brescji (włosk. wym. Breszji) swe życie. Rodzice Anielci byli ubodzy, lecz dbali pilnie o wychowanie dwóch córeczek. Młode dziewczynki miały swój ołtarzyk w domu rodzinnym, który stroiły kwiatami. Piękne chwile młodości trwały krótko, rychło bowiem straciła Anielcia swych rodziców, a w 14 roku życia i jedyną siostrę. Nieszczęścia te zwróciły jej umysł tembardziej do Boga. Od młodości miała usposobienie poważne, odczuwała boleść bliźnich i chciała im pomagać. Zrozumiała znaczenie wychowania dla życia ludzkiego, i po pilnem przygotowaniu się postanowiła poświęcić się pracy wychowawczej dziewcząt, szczególnie zaś ubogich i zaniedbanych przez rodziców. Sława jej pracy wychowawczej rozchodziła się daleko, zaproszona do Brescji, jednego z największych i najbogatszych miast w północnej Italji (obecnie liczy miasto 102.000 mieszk.) poświęciła się ukochanej pracy. W r. 1512 zobaczyła okropności wojny. Francuzi pod wodzą Gastona de Foix zdobyli miasto, przez 8 strasznych dni rabując mienie i mordując mieszkańców. Aniela Merici ocalała, by koić ból i rozpacz nieszczęśliwych. Stąd odbyła następnie pielgrzymkę do Ziemi św. i Rzymu, gdzie papież Klemens VIII (1923—1534) przyjął ją łaskawie i chciał jej oddać nadzór nad szpitalami w Rzymie, ona jednak wolała powrócić do swej pracy. By z jej śmiercią, tak ważna praca dla Boga i społeczeństwa się nie zakończyła, założyła Aniela w r. 1535 zakon Urszulanek, które miały wychowywać dziewczęta. Umarła w r. 1540 w Brescji, gdzie też w jednym z kościołów została pochowaną i dotychczas tam jej zwłoki spoczywają.

W uznaniu wielkich zasług na polu wychowania i świętości życia, Pius VII kanonizował Ją w r. 1807. Święto Jej przypada 31 maja. Zakon przez Nią założony dotrwał do dni dzisiejszych, obecnie liczy przeszło 300 klasztorów i 7.000 zakonnic. W r. 1857 osiadły Urszulanki w Poznaniu, a jedenaście lat później w Gnieźnie, Prusacy jednak je wyrzucili, przeniosły się więc do Małopolski, gdzie mają znakomicie prowadzone zakłady naukowo-wychowawcze i kongregacje dla nauczycielek w Krakowie, Tarnowie, Lwowie. Tak w krótkości przedstawia się życie Patronki Anielek i wychowawczyń.

Jan Pelczar.



W wiosenną godzinę.

W rozwiewnej ciszy ledwo budzącego się poranku — otulona w lazurowy płaszcz srebrnemi gwiazdami tkany, otoczona blaskami promiennych zórz — cicha jak wiew — spływała powoli cudna wieszczka ze śnieżnych szczytów, w niziny szarych pól, o niezaoranych skibach. A kędy tylko stąpnęła szary ugor rumienić się zaczyna łuną budzącego się życia. Niezaorana ziemia miękła, a na jej czarnych skibach wykwitały cudowną barwą, i zieleniły się puchowe kobierce traw — a naokoło hen, szumieć jął falami zielony zbożny łan. Cudowna woń kwiecia upojnem tchnieniem przepływała ziemię wszerz i wzdłuż — a gdzieś w głębi twardego łona, silnym akordem uderzało tętno wszechżycia...

Szła wieszczka przez pola — przez rozkwiecone jej tchnieniem zielone łąki... i uśmiechała się przyjaźnie do barwnych kwiatów, kornie chylących swe kielichy ku jej stopom. I dotykała swoją boską dłonią każdego listeczka, każdej pożółkłej trawki, każdego nierozwiniętego krzewu, — a przy każdem jej dotknięciu rozkwitał krzew życiem, zieleniła się trawka, a kwiat przybierał przepiękne barwy.

I szeptały wokoło niej kwiaty modlitwę cichej prośby i uwielbienia: — Tyś nasza pani, nasza królewna... pozostań z nami na zawsze, i pozwól nam w tobie wiecznie żyć...

A cudna wieszczka odpowiadała:

— Moje wy śliczne — kocham was, i dobrze mi w waszem królestwie, ale pozostać wiecznie z wami nie mogę, bo godzina mojego życia jest krótka — a czekają jeszcze na moje ożywcze tchnienie, serca ludzkie w zimowym śnie pogrążone... Muszę spieszyć do nich, aby im rozświecić jasne słoneczko... i obudzić ich do nowego życia.

I szła dalej wieszczka promiennych nadziei — przez białe szrony rannych przymrozków przez sine mgły budzącego się dnia — szła z cichego królestwa przyrody, w uśpiony świat ludzkich serc...

A gdy przyszła na skraj sennego świata, stanęła smutna i wachająca — gdyż wiało stamąd zimowym chłodem, i zastygłe w śnie leżało ludzkie życie. Gdy stała tak smutna, dumając — promienne słońce zaczęło się przysłaniać w ołowiane chmury, zimny wiatr powiał z północy, a niebo gasło i zachodziło mrokami...

Trwało to jednak tylko chwilę.

Cudna wieszczka wyciągnęła swoje promienne dłonie ponad uśpioną doliną, a wnet słońce rozjaśniło się złotemi blaskami i wiatr północny zmieniać się zaczął w cichy wiew leśnego wietrzyka, którym radośnie szemrały drzewa: — Wiosna idzie... wiosna...

A wiosna wieszczka schodziła w senną dolinę, i delikatnie kładła swoje jasne dłonie na ludzkich sercach, i cichym tajemniczym szeptem budziła je z uśpienia...

Za chwilę rozbrzmiał naokoło potężny hymn życia.

Rozśpiewały ptaki radośnie swoją dźwięczną podniebną pieśń... i rozkołysały się leśne drzewa echem bezkresnej swobody... i rozszumiały trawy szmerem radosnej nadziei... i rozwiały kwiaty zapach rodzącej się cicho miłości... W wiosenną godzinę.

A ludzkie serca?...

Powoli zbudziły się i one, miłością owiane — ale nie wszystkie... Wiele serc pozostało zamkniętych w zimowym śnie nienawiści — nieczułe na otaczające je piękno przyrody... nie rozumiejące miłości wszechżycia... I serca te pozostały na zawsze już zimne i twarde —wiosna od nich odwróciła swoje jasne oblicze — a one pozbawione słonecznych promieni, twardniały coraz bardziej, aż się zmieniły powoli w przydrożne głazy, które już wiecznie leżeć tak będą w zimowym śnie pogrążone — choć naokoło brzmi hymn zmartwychwstania... i płynie cicha pieśń zbudzonych serc, w wiosenną miłości godzinę.

Kachna Ł. Łza.

DAWNIEJ A DZIŚ.



Życie nasze mknie jak strzała! Często to, co było jeszcze wczoraj czyste, świeże i pełne życia, nazajutrz murszeje, pokrywa się pleśnią, aby niezadługo w proch się rozsypać. I na cokolwiek z naszego otoczenia wzrok nasz zwrócimy, czemu tylko bliżej się przypatrzymy, wnet spostrzeżemy, że nie jest to już to samo, co nie tak dawno istniało i niejednokrotnie za doskonałość bywało uważane. Dziś to już przeżytek tylko, rupieć bezużyteczny.

Gdzieżbyśmy dzisiaj odbywali końmi podróż z Krakowa do Lwowa, lub Warszawy? Mamy na to koleje, samochody, samoloty, a może w niedalekiej przyszłości i te środki komunikacji będą się nam wydawały przestarzałe? Dawniej na jakąkolwiek wiadomość czekali ludzie miesiącami, a nawet latami. A kiedy wynaleziono telegraf, zdawało się, że to szczyt doskonałości. Ale wkrótce telegraf ustąpił miejsca telefonowi, gdyż był już dla nas za powolny. Dziś i telefon nam nie wystarcza! Radjo króluje wszechwładnie. Megafony chwytają głos, a fale powietrzne roznoszą go po całym świecie i docierają w najdalsze okolice. Gdybyśmy z aparatem radjowym pojechali nawet w najdalsze okolice świata, moglibyśmy tam najdokładniej słyszeć braci naszych pozostałych w Ojczyźnie.

Ludzie jednak i z tego są niezadowoleni. Nie dość im słyszeć setki i tysiące mil. Oni chcieliby również i wszystko widzieć. To też uczeni wszystkich krajów przemyśliwują nad tem, aby można było sięgać wzrokiem nawet tam, gdzie stopa ludzka dotrzeć nie może. I myślicie, że im się to nie uda? Owszem, dopną swego celu i może jeszcze niejeden z naszych Czytelników będzie mógł przyglądnąć się swojemu znajomemu, przebywającemu w Ameryce.

Ale wraz z rozpowszechnianiem i udoskonalaniem rozmaitych wynalazków zmienia się również tryb życia ludzkiego, a co za tem idzie, zmieniają się upodobania człowieka, zmienia się strój jego i niejako człowiek z czasem odradza się zupełnie. Nie jesteśmy też wobec tego w niczem podobni do naszych praojców. Różnimy się od nich i strojem, i przekonaniami, i zwyczajami. Niestety, zmiana ta wypada na gorsze! Pomińmy nawet zarzucenie dawnych pięknych strojów polskich, a popatrzmy na dusz naszych odmianę. Dawniej nikt się nie wstydził Boga i modlitwy. Pan to, czy chłopek klękał u stóp krzyża, bił się w piersi i błagał Boga o zmiłowanie. I dziś idziemy wprawdzie do kościoła, ale przeważnie chyba po to, aby Panu Bogu „oczy zamydlić". Nie masz tej szczerej modlitwy, jaka była przed laty. Czyż zobaczysz dzisiaj jakiego inteligenta, aby tak, jak ów szlachcic na naszym obrazku klęczał u stóp figury i zanosił korne modły do Pana nad pany? Cóż znowu? Wstydziłby się, gdyż wielu z nas modlitwę za wstyd uważa. Może tam jeszcze gdzieś jakiś chłopek na wsi! Choć i na wsi już wielu wstydzi się modlić.

O ile więc życie nasze fizyczne pnie się niemal z dniem każdym ku wyżynom, o tyle życie duchowe cofa się coraz bardziej, następuje w niem jakiś zanik i szybkim krokiem zbliża się ku nicości. I gdyby tak dalej szło, trzebaby jakiegoś kataklizmu, któryby zdolen był ludzkość nad przepaścią zatrzymać, któryby potrafił ją znowu podnieść ku wyżynom pobożności.



Maciek Bzdura gada:

Casem nasego prefesura, co to dzieci na cytaku ucy, trzymają sie rozmaite śpasy. Lubią go tez wszyćkie ludzie w całej parafji, bo dziecka porządnie za ucha wytarga, jak się pędraki ucyć nie chcą, a gdy potrza, to jem i pod portcęta zaźry i skóre wylize , a kiedy smrodziajstwo do chałpy wypuści, to i od starsiejsych nie stroni, ale chętnie śnimi pogada. Scególniej z dzieuchami. Bywa nieraz, ze se weźnie lasecke do gorści, a cygaro w twarz i idzie bez wieś, coby temu i tamtemu dać dobre słowo.

Wkiejsik, jak wypuścił brzdąców ze skoły, wybrał sie na wieś i wstąpił do nasy chałupy. Miał cosik nasej zonie, to jest gospodarzowej i mojej, powiedzieć. A ze gosposia gdziesik na chałupy wywiali, tak my sie oba wdali w pogawędke, bo ta zawse mądry z mądrem ma o cem pogadać. Prefesur, widząc, zem sam i ze sie za mną nie będzie miał kto ująć, myślał se, ze mnie chyci i tak ni z tego ni z owego powiada:

— A wis ty, Maciek, co to jest koń?

— No i którzby tego nie wiedział — ja na to. — To sie przecie samo przez sie wie, ze koń to ani pies, ani kot, ani zając, ani nawet kobyła, ino koń, rodzoniuteńki koń.

— To, co ty prawis, to i ja sam wiedziałem, ale myślałem, ze mi ty to jakosik przyścipniej odpowies, a tak, jak ty pedziołeś, toby i małe dziecko pedzieć potrafiło.

— No juści! Ale małe dziecko nie wie tego o koniu, co ja jesce wiem o niem. A jak chce pan wiedzieć, to mamy cas, to wam wszyćko opowiem. Wam sie moze zdaje, ze koń koniowi równy, a ono tak nie jest. Niktóry koń to jest między koniami, jak zyd między ludziami. Jak sie go zaprzęgnie do fury, to ciągnie nicem zyd krwawice z ludzkiej kieseni. A tak koń, jak i zyd ,obydwaj są kuci na śtyry kopyta. A i to prawda, ze jak koń straci ogonek nad „ń“, to sie zrobi śniego kon, a przecie wiadomo, ze prawie co drugi zyd to Kon.

— Konie gdzieniegdzie — prawiłem dalej — dzielą się na pociągowe i roboce. Pociągowe pełnią słuzbe w pociągach na kolejach i te zowią sie konduktorami. Wiadomo, ze muszą one dzień i noc pracować, a mało co za to dostają. Roboce konie zowią gdzieniegdzie wołami Pana Boga. Niktóre konie są tak, jak i ludzie, zeniate. Są to wszyćkie konie Pana Jezusa. Jakby kto nie wierzył, niech posłucha, a dowie sie, gdy gosposia zawoła na swego obsturchańca: „Ty koniu Pana Jezusa“.

— Młode konie są ino w lecie i te nazywają sie powszechnie konikami. Świrkają one scególniej we zniwa na ścirniskach. Młodych koników do roboty nie uzywają, bo z młodości nie umią one chodzić, ino cięgiem skacą.

— Koniki róźnią sie bardzo od kobyłek. Wiedzą o tem dobrze wszyćkie swacki i wszyscy krawcy, a i to wiedzą, ze konik z kobyłką nigdy sie pogodzić nie mogą, bo jak konik jest po prawej stronie, to kobyłka zawse po lewej, a jak kobyłka po prawej, to konik pewnikiem po lewej bedzie. Byłby to dowód takze, ze konik i kobyłka są ze sobą zeniaci i latego tak od siebie uciekają.

— Najgorzej jest, jak jaki gaduła wiecowy albo sejmowy, zreśtą to prawie wszyćko jedno, wsiądzie na swego konika. Plecie wtedy bez końca o wszyćkiem, i o nicem tak, ze tego nikt nie rozumie, a juz najmniej on sam gadający.

— Niktóre rzecy gadane na wiecach i zgromadzeniach są tak śmisne, ze końby sie z nich śmiał, gdyby go na wiec puścili, ale go nie puscają. I to właśnie jest dziwne, ze wszelakie osły mają tam wstęp wolny, a koń nie.

— Powiadają, ze koni latego na wiece nie puscają, bo teraz jest demokratyzacyja ludności, a koń zwirze ślachetne do ślachty nalezy. I właśnie z powodu tej ślachetczyzny, jak społeceństwo na wozie jedzie, to koń zawse na przedzie.

Tak gadałem, a profesur sie uśmichał, wąsikami rusał raz po raz, a gdym skończył, tak pada do mnie:

— To ty Maciuś chyba latego tak konie lubis, ze mają tyle przywilejów?

— To sie wie — ja mu na to — i wole porządnego konia, niz byle jakiego cłeka, co sie ino próżnowaniem trudni, a zadnego pozytku inksem ludziom nie przynosi.

— Toś ty nie taki głupi, Maciuś, za jakiego cię ma Kaśka.

Rzekłsy to nas prefesur prędziutko sie ze mną pozegnał i posed z chałpy, a spiesył sie tak bardzo, bo właśnie Jadwiga od Podlaska sła z wodą od studni.



Biały kwiat.

O, chciałbym znaleźć taki kwiat —
Gdzieś na szerokim świecie —
Co rośnie kędyś w ciszy, sam,
Na którym niema dotąd plam,
Ani go dotknął fałszu gad...
Gdzieś na szerokim świecie,
O którym wy nie wiecie.

Chciałbym go w dłonie swoje brać
I pieścić tak przytulnie,
Jak coś, co ludzką postać ma,..
A czasem rzewną piosnką łka;
Umie na strunach duszy grać;
A pieści tak przytulnie,
A zawsze myśli wspólnie...

Lecz czy go znajdę w świecie gdzie?
Nie wiem, choć szukam wszędzie.
Pono — jak niesie cichy słych —
Dziś coraz więcej kwiatów pstrych..
Bo każdy prawie takie rwie,
Więc trzeba długo, wszędzie
Szukać — nim moim będzie...

Albatros.

LUDWIK ST. UNSING. (Przedruk wzbroniony).

Getsemane.

Powieść biblijna.

X.

Tragedja Judy z Karjotu.

Kiedy Sanhedryn opustoszał i zdawało się, że zamarło w nim życie, a powiew śmierci ulatniał się szczelinami, niejako wydechając z siebie pyłki ostatniego wyroku, szmer ozwał się w krużganku.

Szmer był dudniący.

W olbrzymim, a pustym gmachu wśród niepokalanej ciszy, wszelki szmer podobnym się staje do huku .Ostrożnie kładziono nogę obutą w drewniany sandał, na posadzkę, posuwano drogą, a to razem dawało echo i stawało się hukiem dudniącym.

Jakiś człowiek, zaszedłszy tyłem wkradł się był w przybytek sprawiedliwości i ukrył u wejścia na prezydjalny fotel. Człowiek był otulony szczelnie płaszczem, miał rozwichrzoną czuprynę i jedno żywe oko w którem straszne podejrzenie rysowało się pokojem. Plecy miał wygięte, a w ręku woreczek, wystający z pod fałdów płaszcza.

Był to Juda, syn Szymona z Karjotu.

Jak cień szedł za skrępowanym Nazarejczykiem, na chwiejących się nogach, widząc jego postać oświetloną pochodniami w szeregu zbrojnych żołnierzy.

Szedł z daleka.

Tą samą ścieżką schodził z Getsemane, na tych samych potykał się przeszkodach, po tych samych snując się zaułkach, nie tracąc z oka ani na chwilę tego smutnego pochodu.

Wino z Akko wyszumiało już, zostawiając ślad na nosie i czerwone wypieki na czole i policzkach, w duszy zbudził się krytycyzm...

Ten, co karmił głodne rzesze, co pieścił tak dziatki, co jednem słowem pocieszał w smutku i uzdrawiał chorych, szedł teraz jak zbrodzień skrępowany sznurami, potrącany w sforze żołdactwa. Dokąd? Juda chce wiedzieć dokąd wiodą wydanego im w ręce Mistrza! Interesuje go ta droga, jej cel i dalsze dzieje człowieka, którego sprzedał.

— Przehandlowałem Nauczyciela, ojca biednych i bezdomnych, pewnie na hańbę pospólstwu, ja, Juda, syn Szymona z Karjotu! Ta definicja czynu stanęła mu żywo przed sumieniem, które ugięło się chwilę przed namiętnością, a teraz wyprostowało się i sądzi! Po tylu latach wędrówki po świecie, mając przewodnika swego w dzień i w nocy na oku, nie był on zdolen do żadnego złego czynu, sam głodując, na gołej ziemi sypiając, kułak lub kamień pod głowami mając, dbał o wygodę swej gromadki, karmił choćby cudem i odziewał. Jam to wszystko widział, prawdą jest świętą jako niemasz takiego powodu, iżby go krępowano sznurami i wleczono po nocy. Czegoby nie zrobił największy zbrodzień, iżby zdradził ojca swego, jam uczynił! Jeden z tych co odebrali z rąk Nazarejczyka wolność i zaufanie, wszedł na drogę zbrodni! Za trzydzieści srebrnych zuz zrobiłem interes krwią i upokorzeniem pachnący! Podły i przeklęty jesteś Judo z Karjotu!

Nogi drżały pod nim, otulił się płaszczem dokładniej, ściskają palący go woreczek napełniony zuzami. Patrzał przed siebie i szedł, tym chwiejnym chodem skazańca, w ślad za zbrojnym orszakiem w gmach pałacu Annasza. Wiele razy tędy chodził, ale z drugiej strony. Zdrada chodzi tyłem i osłania się nocą! Wszelki podstęp i zdrada, podłe skrytobójstwo napadają z tyłu, kłują z ukrycia. Oto, nie jestem synem obłudy, zdrady i nocy? Tak Judo! Błogosławiła cię noc, sojuszniczka zbójcy, a przeklął ranek, pełen słońca i sprawiedliwości!

Pałac Annasza otwarł podwoje, tam wepchnięto mistrza i drwiono głośno. Arcykapłan Annasz szydził z człowieka, mającego tyle zasług, arcykapłan kipiał gniewem, a żołdak, gad przyziemny bił pięścią po twarzy! Za co? Za prawdę! Za to, że ten skromny Nauczyciel roztaczał zbyt gorliwą kontrolę nad samowolą głów rządzących, sług Pańskich, a naprawdę tyranów ludu! W kapłańskie szaty oblokły się gady i wysysały krew ludu, łagodnie i dostojnie się uśmiechając, a w skrytości dawać ujście zemście umiejąc, męczą prawdziwego kapłana!

Aż dziw, jak szeroko otwarło się sumienie Judy, jak drobnostkowo oceniało każdy szczegół, których on dawniej nie widział poprzez zahłańską łapczywość grosza, swego bóstwa, o którym w dzień myślał, a w nocy śnił.

Chyłkiem, w cień gęsty wchodząc, przekradł się na tyły sądu i wpełzł w korytarz, sunąc od filaru do filaru, aż pod kotarę Hilela. Leżąc na ziemi, podgiął niespostrzeżenie rąbek frendzli i zobaczył rozlazłe cielsko arcykapłana roku, jego nogi jak słupy. Skrzeczącym głosem wysykiwał pytania i podkreślił oskarżenie ułożone z góry i z góry aprobowane. Jezus Chrystus stał w świetle, widać było każdy rys, twarz trochę brudną i oczy wpadłe, ale żywe, świecące. Ani strachu, ani zamieszania krzty dopatrzeć się tam nie mógł... Przebieg sądu był krótki, gwałtowny... z paru słów, wyjrzała śmierć tak łatwo jak dzionek po nocy. Widział Juda i zrozumiał, że nie chodziło o sąd, a o śmierć. Poto go kupili i poto on Go sprzedał.

Czuł, że słabnie zawrót głowy i drżenie serca odbiorą mu chyba przytomność... Wtulił się w jakieś ciemne zagłębienie i zemdlał... A gdy się ocknął zapadł już całun nocy i grobowa cisza... Co teraz? A gdzie On? Ta ofiara chuci, ten skazaniec, któremu nie godzien jesteś związać rzemyka u sandałów?! I ten sąd, który sam winien być sądzony?

Wszystko znikło i przepadło w nocy, został tylko on sam ze swojem sumieniem i pełną sakiewką. Zimny przeciąg powiał przez krużganek, a noc tak tu była czarna, aż oślepiała białym jakimś fosforycznym kosmarem. Co krok, to jakiś filar, jakaś kotara, to znowu głowa uderza w jakąś ścianę bez wyjścia. Gdzieżem jest właściwie? — pytał w myśli. — Czyżby i mnie zamknięto, na świadectwo prawdzie?! Oh, krzyczałbym pod niebo, jako Mistrz niewinien, a sąd, a podły sjoński rozbónik arcykapłan i jego zgraja! Żebrałbym Ciebie biedny Mistrzu o zmiłowanie! Ale niemasz już dla mnie zmiłowania, nie masz niczego... Przeklętym jesteś Judo na wieki i przepadłeś jako przepadł Mistrz w ciemnościach!

Okręcił się płaszczem lepiej, gdyż chwyciły go dreszcze i przeciąg jął dokuczać kościom, dojmującym kłóciem. Ale bardziej dojmującym był ból duszy. Jestto mól wkręcający się w każdy nerw z taką dokładnością, że niewiadomo, co boli i gdzie. Jest wszędzie i nigdzie, a takim kotłem wrze, jak żaden ogień wywołać nie może. Juda ginął sam w sobie, dojrzewał do śmierci, nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego co w nim się zmienia i do czego dąży. Pragnieniem obecnej chwili, było wiedzieć, gdzie Nazarejczyk, co z nim zrobiono i drugiem: jeśli nie jest w więzieniu, wyjść z tych zakamarków ciemnych i szukać pewności.

Obmacał ścianę, przesunął się wzdłuż jakiegoś brzegu wystającego z poza ściany i zbadał, że może dalej się przesunąć, otworem wyłaniającym się z pod ręki. Zrobił krok, dwa... kilka. Ostrożne posuwanie się w drewnianych sandałach, narobiło jednak hałasu, który dla jego wykolejonej duszy zdawał się być ukojeniem. Wytężając uwagę przestał się równocześnie drażnić, żrące skupienie samo w sobie zdawało się popuszczać kleszczy, podczas gdy brnął w ciemnościach, ciągle grunt badając. I oto, w oko, o rozszerzonej nadmiernie źrenicy, wpadło światło pełne blasku.

Czasami świeca oślepia, a cóż dopiero srebrny księżyc, gdy z ponurej ciemności absolutnej, chwyci oko natężone. Począł mrugać okiem i przysłaniać dłonią cisnące się promienie aż do zrównoważenia. Był w samym króżganku tylnego wyjścia z gmachu, to jest tam, którędy wszedł. Dziedziniec był zalany światłem, na środku paliło się ognisko, przy którem grzała się straż strzegąca państwowego gmachu i wejścia do więzień.

Panował chłód egzotycznej nocy: Juda wpił oko w ognisko, ponieważ dygotał z zimna; wpił oko w strażników, ponieważ paliła go gorączka dowiedzenia się wszystkiego.

Można dygotać z zimna, a równocześnie spalać się z ciekawości, takie chwile bywają czasami.

Nierównym krokiem, zbyt uginając nogi w kolanach, wszedł zwolna w krąg świetlany ogniska. Siedzieli tam jego wspólnicy, dotychczasowi przyjaciele.

Nagle poczuł, że ich nienawidzi.

Tą nienawiścią wykrzywiły się usta i wstręt wstrząsnął ciałem dygocącym. Byli to puści birbanci, ludzie zmysłowi, opoje i brutale. Wszystko zdołał ocenić Juda w momencie swego jasnowidzenia. Z takimi ludźmi wchodziłem w konszachty — zaświdrowało mu w mózgu.

— O! podły Judo, podły i przeklęty! Z gromadki wiernej, pełnej prostoty uciekłeś, a wybrałeś stado wilków! Rzuciłeś pana co błyszczał jak słońce, a wstąpiłeś w służbę rozlanego wieprza pełnego zgnilizny...

I zmieszał się z gromadą.

Uczuł, że łatwo zapanować mu przychodzi nad uczuciem nienawiści i skryć w sobie co czuje i myśli. Nawet uśmiechnął się półgębkiem. Sam sobie dziwił się jak to gładko idzie i że wogóle na coś podobnego stać go było jeszcze. W gromadzie był centurjon, okoliczność niezwyczajna, ale też dająca się wykorzystać, więc wprost rozpoczął z nim gawędę.

— Szybkoście załatwili rzecz, nie czekając nawet na mnie.

— Bo na cóż mi ciebie — mruknął centurjon. — Czterech takich wiódłbym na postronku sam jeden.

— Zaprawdę — przytaknął Juda. — Jakżeż z nim skończyli?

— Zabiją.

— I tyle? A kiedy?

— Jak Poncjus Pilatus zatwierdzi wyrok.

— Ach tak! — uspokoił się nieco Juda — Poncjus nieskory na żydowskie wyroki, prawda?

— Jak kiedy i które. Ten to ptaszek setny! — mruczał centurjon nosowym basem.

— A gdzież on teraz, ten ptaszek, znam ci go niezgorzej — nie ucieknie.

— Ba, pewnie, schowany dobrze w bastjonie, w katowni Millonu!

— Nie rozumiem!!

— Katownia to podziemie, a w tem podziemiu dziura, z której wyjść bez pomocy niepodobna. To znaczy katownia Millonu!

Coś zaparło oddech Judy, coś ścisnęło mu serce i wszystka krew uderzyła mu do głowy.

— A tobie co? — zapytał centurjon.

— Nic! A czemuż, aż w takie podziemia wpychacie człowieka wcale niepolitycznego?

— Tam się składa największych zbrodniarzy, taki był rozkaz!

Juda miał dość, po raz drugi zemdlał.

— Pijana bestja — mruknął centurjon i zostawił go w spokoju. Ale wkrótce minęło omdlenie i podniósł się na nogi. Chłód gdzieś znikł, raził go blask ognia, senne postacie, ten dziedziniec i nawet on sam.

— Dużo musiałeś wypić żydzie!

— Dużo, bardzo dużo — odbełknął i wyszedł z kręgu w ciemność, bo księżyc już z nieba zrajterował, lub schował się za góry. Było mu to wielce obojętne co się stało z księżycem, ale co się z nim stanie? Niepodobieństwem jest wytrzymać tego tłoku bolu niebolącego, kłucia niekłującego, tego pukania bezszelestnego w każdy punkt duszy i mózgu. To jest nad siły legendarnego Herkulesa, nad wszelką możność człowieka! I to mam być ja, w tej sparaliżowanej skórze, w której nic nie boli, a wszystko woła? Woła nijakim głosem, a ryczy?

Skierował się ku świątyni. Jej potężne filary wyłaniały się z ciemności, ciemniejsze od samej nocy. Ale bramy były zamknięte, i ciemno we wszystkich otworach jak w grobie... Spało Jeruzalem jak martwe, zadowolone dziełem zdrady. Czyim?! Moim! Moim dziełem, rąk plugawych i tego worka przeklętego, jako ja!

Usiadł na stopniach świątyni i siedział skłoniwszy głowę na piersi, bez ruchu, bez czucia, podobnym się stając tym filarom, których żadna burza nie zetrze. Tylko ta była różnica, że jego starła burza i dlatego tak siedzi jak martwy, burzy się nie bojąc, ani niczego już na świecie.

Być starym, a jednak żyć, to uczucie straszliwe... Ten jeden o tem może wiedzieć, Ten jeden w bastjonie, w dziurze katowni siedzący Nazarejczyk! Ty cierpisz Panie w podziemiu, a ja tu na stopniach świątyni, aż znieczulałem i skostniałem w sobie, bez nadziei wyzwolenia, schodzący w grób bez światła jako Ty! Ty za mnie, ja za Ciebie Panie! Ja za Ciebie, bo inaczej byłbym Judasz, a dziś nim nie jestem: ze zdrady mojej wykwitnie kwiat, co podetnie fundamenta tej świątyni i runie Zakon Stary! Ale już mi nie przebaczysz, wiem to, dobrze, czuję... i słusznie że nie możesz... Ta świątynia wydała mu się teraz jako zbiorowisko głazów z otworami jak w spiżarce, składowisko rupieci nikomu już niepotrzebnych. Zuzy były wypłacone gdzieś z tyłu tego gmachu: są w nim nory zdradliwe i ciemne zaułki, bożyszcze szatana. — Runiesz świątynio, jako ja, a może sromotniej, z ciebie wypełz ten gad co stoczył serce moje, z ciebie zdrada i przeklęty mój los! A jako mnie ściga sprawiedliwość, tak i ciebie dotknie jej karząca ręka, choćby już prochu ze mnie nie było — a dotknie!

Noc zrobiła się brudno szara, zabarwiona świtaniem, bardzo jeszcze nieśmiało. Judę ogarnęła wściekłość: począł walić w podwoje świątyni, pięściami i drewnianemi sandałami. Z tych wściekłych razów drwiły spiżowe okowy, ale dały skutek. Gromada Lewitów zaszła mu na tyły i schwyciła świętokradcę.

Zaalarmowano dostojeństwo i oto znalazł się Juda przed zaspanem obliczem syna Setha. Arcykapłan miał zakiśnięte oczy, podkolone workami nerkowe-

go niedomagania. Było w tych oczach trochę surowości i trochę strachu, ale wróciły do równowagi poznawszy, że był to tylko Juda, dobrze trzymany za bary.

— Ha! łotrze przeklęty! Jakoś śmiał zakłócić ciszę świętego przybytku i napaść na dom boży?!

Szarpnął się Juda w ramionach trzymających go Lewitów.

— Nie dom boży napadałem, ale ciebie! Ciebie chcę spytać co z nim zrobiłeś złoczyńco! Dałeś słowo kapłańskie jako nic złego nie uczynisz, a wtrąciłeś go w loch milloński i na śmierć skazałeś?!



Na gałęzi huśtał się trup Judy.

— Nie twoja rzecz, a moja! — ryknął arcykapłan. — Zaliś nie dostał za zdradziecki czyn nagrody? Zaliś nie tropił nie wskazał śladu, a jako teraz się rzucasz podły rozbójniku?!

— Bo nie chcę twej nagrody, zabierz ten worek obrzydły, a wróć mi Jego! Jego mi wróć arcykapłanie jeśliś nim jest i wartość jakąś ma twoje przyrzeczenie! — zawołał z rozpaczą.

Syn Setha parsknął stalowym śmiechem.

— A toż dobre! Precz idź, póki na czyn twój wzgląd mój kładę, bo wnet podzielisz jego los.

— Ty mnie podzieleniem jego losu straszysz?! Powiadam ci, wróć mi Jego, bo zanim wpadnę w ten loch, kości będziesz zbierał po Jerozolimie!

I szarpnął się tak gwałtownie, że trzymające go ramiona opuściły zdobycz.

Teraz arcykapłan począł uciekać, a Juda dogonił go i wydobywszy owe zuzy z woreczka, garścią sypnął mu pod nogi.

— Nie skalam ręki na tobie, nie bój się tchórzu, choć może źle robię. Ale lepiej będzie gdy cię dosięgnie sprawiedliwy i sam w lochu zgnijesz! Tuż pod samym nosem pogroził mu pięścią, poczem roztrąciwszy osłupiałych lewitów wybiegł ze świątyni.

Brudna szarość nocy stała się popielatą, a on biegł przed siebie rwąc kudły rozwichrzone i ocknął się dopiero za miastem, kiedy na wschodzie poczęło różowieć. Oka nie zmrużył tej nocy strasznej, nie czując potrzeby snu, ni głodu ni zmęczenia. Czuł tylko sam siebie.

Czuć samego siebie, to wielki ciężar niekiedy. Juda zrobił to odkrycie ponure: Czuł siebie okrutnie. W nogi, od samych stóp, aż po lędźwie zaczął się wlewać ołów, przez kręgosłup przeciągnął się słup, sztywny i twardy. Głowie coś dodało wagi złomu granitowego, aż przegięła się szyja. Zdawało mu się, że ogłuchł, gdyż cisza była absolutna. Począł wlec się ku górze, ścieżką w Getsemanie.

Rankiem, ten cudowny ogród zdawał się zapraszać swą migotliwą zielenią, rozkosznemi zakątkami i harmonją ścieżek. Ale Juda był brutalny; szedł nie zważając na to zaproszenie. Chwiał się na nogach, jako ta zieleń poruszana wiatrem i szedł niewiadomo dokąd i poco. Dopiero, jak zamglony myślami wzrok padł na cedry, odrazu zrozumiał poco tu zaszedł. Zdefinjował krótko: Pozbyć się samego siebie.

Wieczność wyjrzała z katów ust, z tego uśmiechu, który okrasił tę definicję. Juda rozkoszował się śmiercią, w której ramiona szedł dobrowolnie jak dziecię w objęcia matki.

Spojrzał na poprzeczną gałąź cedrną wiszącą nad ziemią z jakie piętnaście stóp. Trochę wysoko, ale zato widok będzie lepszy, a koniec pewniejszy. Zrzucił płaszcz, został tylko w swej szarej hitichin przepasanej sznurem. O ten sznur chodziło mu najwięcej. Wyszachrował go od Elizeusza, u którego kupował wino z Akko i drwił na spółkę z Tego, którego zakopał w podziemia katowni.

Nawet sznur odda mu tę przysługę zdradziecką z nawiązką.

Z zapalczywością chłopca, wspiął się na pień cedru pomagając sobie nawet zębami. Zbawcza gałąź już była pod ręką i za chwilę okręcona pętlą, mocną jak pleciona z drutu.

Oh! — mruknął. Sznury zdrajców bywają mocne.

Siedząc okrakiem na gałęzi, zacisnął teraz kolana i jął umocowywać pętlę na szyji, starannie dostosowując jej zgrubienia do dołków szczęki i karku. Była to rozpaczliwie przyjemna robota, prowadzona z nerwowym pospiechem.

Ucieczka z życia zdaje się być niekiedy niedość szybka, jak niedość blisko znachodzi się źródło oddalone o dziesięć kroków od spragnionego, który upadł z osłabienia. Ale czas ma moc, na wszystko przychodzi w porę: Juda wsparł się na rękach oswobodzając nogi i puścił gałąź.

Uczuł dotkliwy ból w szyji, nagłe zaparcie oddechu i ból języka zmiażdżonego zębami.

Ale trwało to małą chwilę.

Ból zmienił się w rozkoszne ciepło rozchodzące się po głowie i piersiach; przed oczami zjawiały się purpurowe wzory tkanin z ognistemi promieniami falującego srebra, w których nurzał się z całą rozkoszą...

Ale purpura poczęła żółcieć, wpadając w odcień niebieski, coraz ciemniejszy i wreszcie zlała się z nocą...

Na gałęzi cedru huśtał się trup Judy o sinej twarzy, z wywalonym językiem, wyłupiastym okiem i zwichrzoną czupryną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Myśli.

Dłoń z dłonią, z sercem serce, zgoda cnota miła,
Nie rozbijać się, lecz łączyć — gdyż w jedności siła.

Choćby zlał wszystkie rozumy w jeden rozum w świecie,
Wszechmądrości Bożej jednak nie dorówna przecie,

Ponad skarby, dostojeństwa, honory i mienie
Opłaca się lepiej mieć jasną duszę i czyste sumienie.

Piotr Wenc.

Co to jest choroba?

Są na świecie różne pytania, które zdają się być wyjaśnionemi, na wszelki możliwy i niemożliwy sposób, ale właściwej odpowiedzi na nie niema i nie było. Co to jest choroba? Ano choroba. Psuje się, żołądek, kiszki, czy wątroba, nerwy, pęcherz lub reumatyzm grasuje, to jest choroba i basta. Całe tomy można przeczytać i wyłysieć z mądrości, a nie dowiedzieć się nigdy nic, poza doktrynerskimi frazesami. A jednak pokuszę się w tym artykule streścić pogląd na chorobę i to w takiej formie, żeby nawet dziecko mogło to zrozumieć, bo oto właśnie chodzi w każdej nauce, żeby przedewszystkiem: zostać zrozumianym. Zrobię to tem chętniej, że zainteresowanie się moimi artykułami jest większe, niż myślałem ja sam i Redakcja „Roli" także.

W poprzednim artykule obiecałem napisać, jak się zachowuje organizm względem obcego nabytku, nie mogącego być ani strawionym ani wydalonym. Oprę się w tym względzie na obserwacjach największego przyrodnika, Ludwika Kuhnego, z których zawsze wszyscy wszystko czerpią, a okazują tę niewdzięczność, że nazwisko sławnego męża zostawiają w ukryciu. Niemcy dlatego, że im zarzucił niezrozumienie istoty choroby, a Polacy znowu dlatego, że Kuhne jest... Niemcem i nie jest doktorem. Urażona duma frazesu z jednej strony, a polityczna nienawiść i pyszałkowość z drugiej strony, rzuciły kłody pod nogi wielkiego myśliciela. Oddawszy tym sposobem hołd zasłudze, pójdę dalej. Więc co to jest choroba, tak na chłopski rozum? Jestto obca materja, stała i ważka, stanowiąca spożywkę dla wrogiej ustrojowi, a właściwej owej obecj materji bakterji, na której żeruje i urasta w siłę. Czyli innemi słowy, jestto proces rozkładowy, dokonywujący się zwolna w ustroju, którego osłabiona siła żywotna nie może zlikwidować całkowicie, albo choćby częściowo. Bardzo to ładnie powie ktoś, ale wobec tego, że choroba jest materją ważką i stałą, to powinno się ją widzieć. Całkiem słusznie. Właśnie, że ją można widzieć gołem okiem, bez potrzeby uciekania się do stetoskopu, pukania, szczypania i röntgenowania, a nawet bez potrzeby rozbierania się! Ale to trzeba wyjaśnić czyli spopularyzować. Do tego musimy dochodzić pomału, krok za krokiem, gdyż inaczej nie wszystko zrozumiemy. Zacznijmy tak: Jeżeli człowiek zrozumiał, że każdy organ w jego ciele pracuje, to powinien także wiedzieć, że po pracy należy się spoczynek, tak jak jemu samemu. Nie znaczy to jednak, że gdy człowiek spoczywa, to wszystko w nim spoczywa również. Tak to należy zrozumieć, że gdyś się np. upił, to choć śpisz jak suseł, organizm twój jednak pracuje bardzo, bo likwiduje zatrucie. Jeżeliś zjadł za wiele i śpisz, to organizm mimoto pracuje, bo trawi. Taka bezustanna praca wyczerpuje organizm, skutkiem tego każdy poszczególny organ ma w dziale swej pracy zaległości, z którymi nie będąc jeszcze załatwionym, już mu nowa praca sypie się jak z worka. Na tę chwilę czeka sroga bakterja i rzuciwszy się na te zaległości sprawia fermentację. Nie jest to już fermentacja ustrojowa, ale fermentacja chorobowa. Produkty owej fermentacji opadają na spód brzucha, a ustrój wypycha je do organów wydzielczych celem wydalenia. I wtedy dopiero okazuje się niemoc wyczerpania: organa nie są w stanie pracy swej dokonać, albo całkowicie, lub tylko częściowo. Zatykają się szlamem pory skóry, gdyż tam szlam ten został doprowadzony celem wydzielenia i już brakło siły do oczyszczenia pór; przewód pokarmowy nie może wydzielić na zewnątrz ekskrementów, gdyż potrzebną na to energję zużył na trawienie, nerki taksamo, płuca również. Są więc w ustroju trujące jady w formie wypocin, flegmy i kału jako zaległości z powodu osłabienia funkcyj organów przez obarczenie. Gdy początek już zrobiony, wszystko idzie dalej jak z płatka. Ustrój nie mogąc wydzielić, zaczyna rozpychać owe zaległości po sobie, z początku zawsze po tej stronie, na której człowiek sypia. Dowód: ktokolwiek ma takie zaległości, a śpi np. na prawej stronie, to cała prawa strona ulega zmianie i różni się od lewej. Jest bardziej nabrzmiała czyli grubsza, bardziej zmarszczona twarz z tej strony. Objawy obarczenia z prawej strony są: pocące się nogi, nerwowość podudziowa, obstrukcja, zęby przeważnie z górnej szczęki z boku zepsute. Jeśli taki człowiek zapada w chorobę ostrą to zawsze naprzód na tejże stronie, więc: prawy migdałek, prawe płuco, czy ślepa kiszka i t. d. Słyszycie zatem coś nowego! Prostego jak świeca i naturalnego. Gdzie wędrują te obce materje, zawsze za sobą ciągną zniszczenie zrazu lekkie, później głębsze i zagrażające życiu. Zmieniają barwę skóry. Naprzykład po wielkiej bladości twarzy poznasz obarczone moczowody, również tosamo po uderzającej czerwoności: mocz wydziela się skąpo, a reszta zostaje niewydzielona. Kto nosi tak zwany „podbródek", ten napewno ma zepsute zęby z dołu, gdyż „podbródek" to obca materja! Czemże wobec tej teorji są flaszeczki z lekarstwami, proszki i pigułki jeśli nie tłumikami, środkami uspokajającymi bóle skutkiem sparaliżowania siły żywotnej, wołającej przez ból o ratunek? Ale tłumienie bólu mści się wielce! Zrazu obarczenia okazują się jako zniekształcenia miękkie, a w miarę jak obcych materyj przybywa stają się twardsze, jeszcze w dalszym napływaniu tworzą się już guzy i niszczą sobą organa szlachetne. To tak wygląda jakby się naprzykład napychało kiełbasę: im więcej treści, tem robi się twardsza i z powodu ciągłego ciśnienia zagraża pęknięciem(w ustroju: nagłe zgony).

Obarczenia są czworakie: z przodu, z boku, z tyłu i całkowite. Wedle nich sądzi się też o stanie zdrowia danej jednostki. Najkorzystniejszem dla leczenia jest obarczenie z przodu, trudniejszem z boku, ciężkiem z tyłu, a bardzo ciężkiem, całkowite. Stądto pochodzi, że naprzykład atleta (chorobliwe obarczenie całkowite) człowiek tęgi muskularny nie wytrzymuje ani nawet zwykłej grypy, podczas gdy u niepozornego chudaka usuwa się tyfus z łatwością. Stąd to pochodzi, że u jednego usuwa się szybko np. epilepsję, podczas gdy u drugiego nic już zrobić nie można na zwykły katar nosowy: ten katar jest miarką już przebraną. Kto się wcześnie spostrzega i dość woli ma w zapasie, tego uzdrowić można z nieprawdopodobnie ciężkiej choroby w ciągu miesięcy lub lat. Chodzi oto, aby przygasającą siłę żywotną ożywić, a gdy to się stanie, taż siła żywotna, pod warunkiem, że trawienie nigdy już obarczonem nie będzie ani nadmiarem, ani niewłaściwym pokarmem — rozpoczyna drogą przesileń wymiatanie organizmu. Przesilenia są niekiedy tak gwałtowne, że nawet lekarz zaczyna się chwiać w niepewności, a mimo to prawie zawsze wychodzą na korzyść leczonego. Trudność leży w tem, że wola bywa mocno nadwyrężona i nie działa skutecznie ,dajmy na to w wypadkach obarczenia moczowodów. Wtedy bowiem płyny są szkodliwe, gdyż nie mogąc być wydalonemi, zalegają, ale chory ma wielkie pragnienie właśnie wtedy,

gdy to szkodzi. Taksamo jest z jedzeniem: im bardziej osłabione jest trawienie, tem więcej woła chory o jedzenie, które nie może być ani strawione, ani wydalone, więc powiększa tylko jady. Takto jest, gdy zapóźno ktoś zabiera się do naprawy drogi i spostrzega wyboje o jakich nawet w marzeniu nie śnił. Choroba jest to również życie, mające swoją siłę i swoje prawa! Ona walczy o pierwszeństwo i pokonuje organizm, swoje życie jej przeciwstawiający, a które to życie jest zawadą dla całkowitej swobody czynności rozkładowej. Taki stan jest już niewiele obiecujący, gdyż chory raz jeden wykroczywszy, już ma dosyć. Oczywiście co tu powiedziałem, jest zaledwie w szkicu, gdyż szersze rozprawy wymagają nieco fachowości dla zrozumienia całokształtu. Kto atoli, chciałby się z tym materjałem obeznać szerzej, niech czyta dzieła Ludwika Kuhnego z Lipska, gdyż celem moich artykułów jest tylko zapoznanie czytelnika z istotą rzeczy do tyla, by mógł proces życia poznać i wskutek tego działać jak należy.

Ludwik St. Unsing.



Poradnik gospodarczy.

Ostra i długotrwała tegoroczna zima dała się dobrze we znaki jesiennym zasiewom i to nietylko u nas w Polsce, ale także w całej środkowej Europie. Najbardziej ucierpiało żyto i jęczmień oziminy, trochę mniej pszenica, a ponieważ w Polsce siejemy o wiele więcej żyta, niż pszenicy i do tego na polach słabo nawożonych, niemających w sobie tak zwanej „starej siły", więc też dotknęła nas strata większa niż najbliższych naszych sąsiadów zachodnich — Niemców i Czechów. Gdyby jednak po tej ostrej zimie nastąpiła wczesna i ciepła wiosna, to napewno poprawiłyby się ozime zasiewy w zupełności, a jarzyny daćby mogły bardzo ładny nawet urodzaj. Stało się jednak inaczej, jakby dla potwierdzenia przysłowia, że jedna bieda jeszcze nie zupełnie zgnębi człowieka, mamy wiosnę późną, bardzo zimną i wietrzną, że gorszej już być nie mogło. Nic przeto dziwnego, że zboża zamiast się poprawiać, bardziej jeszcze marniały i ginęły, co zatruło rolnikowi radosną zwykle porę wiosenną, nasuwając mu smutne myśli o spodziewanej klęsce nieurodzaju.

Ale znowu tak źle nie jest, aby trzeba było rozpaczać. Owszem mokry maj zdaje się wskazywać, że urodzaje znacznie się poprawią. Przewidywać jednak można, że lato będzie suche, a przynajmniej z rzadko przechodzącemi deszczami, bo w zapiskach meteorologów, to jest ludzi poświęcających się badaniu klimatu, notowane jst najczęściej po długiej i stałej zimie przeważnie suche lato. Należy więc spodziewać się, że będziemy mieli lato bez deszczów i wskutek tego susza może urodzaje tegoroczne bardzo obniżyć. Ostrożność przeto nakazuje, aby nie wypuszczać z roli bez potrzeby znajdującej się w niej wilgoci, lecz trzymać ją tam aż do początku lata.

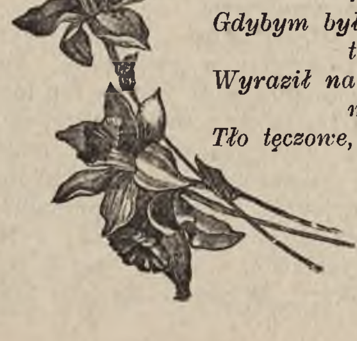
A jeżeli nawet przewidywania te się nie sprawdzą i w lecie będziemy mieli dosyć dni deszczowych, to nic złego się nie stanie, bo roboty nasze przy pielęgnowaniu roślin i starania o zatrzymanie w roli wilgoci, nie będą zmarnowane, lecz przeciwnie — przyczynią się do zwiększenia zbiorów. Bo i co mamy właściwie robić? Oto przedewszystkiem pilnować, aby rola nie była nigdy pokryta skorupą, jaka bardzo często się tworzy na roli, zwłaszcza po krótkim choćby, lecz gwałtownym deszczu. Skorupę tę, jak tylko podeschnie, należy pokruszyć, oczywiście mowa tu o okopowych, bo na zbożach już zapóźno.

Niszczenie skorupy na roli ma jednak na celu nietylko zapobieganie przed zbytecznym jej wysychaniem, ale również i ułatwienie jej przewiewności, to znaczy umożliwienie dostępu powietrza do gleby. Jak krew w żyłach zwierzęcia, tak powietrze w ziemi musi ciągle krążyć bez ustanku między najdrobniejszymi jej cząsteczkami. Ziemia, w której niema powietrza jest martwą i nie urodzajną, słusznie więc nosi nazwę martwicy. Utrzymywanie powierzchni roli w drobnych grudkach, to jest bez zbytniego sproszkowania daje nam podwójną korzyść, bowiem powstrzymuje raptowne jej wysychanie i powtóre ułatwia jej przewiewność.

Drugą, bardzo ważną czynnością, w zapobieganiu zbytecznemu wysychaniu roli będzie staranne i ustawiczne niszczenie chwastów. Chwasty są utrapieniem rolnika, bo gdyby się ich nie zwalczało, zniszczyłyby one nieraz doszczętnie wszystkie rośliny uprawiane. Chwasty nie boją się ani mrozów, ani palących wiatrów, ani posuchy, ani nawet długotrwałych deszczów, rozrastają się obficie w takich nawet porach, w jakich marnieją i giną rośliny uprawne. Są to bardzo wytrzymałe i znoszą z łatwością wszelkie biedy i przeciwności, bo od wieków zahartowane są i przyzwyczajone nawet do najgorszego, kiedy rośliny uprawne człowiek wydelikacił, rozpieścił i do wygody przyzwyczaił, musi więc dbać koniecznie o wygodę dla swych roślin i otaczać je wciąż troskliwą opieką, broniąc przed nieprzyjaciółmi i wrogami.

A najgorszymi wrogami wszystkich uprawnych roślin są właśnie te wytrzymałe na wszelkie przeciwności chwasty, rozrastające się bujnie między uprawnemi roślinami. Zabierają im miejsce na roli i przez to nie pozwalają roślinom uprawnym, ani się rozkrzewić, ani też rozrosnąć, wyjadają im przysposobiony przez rolnika pokarm i chciwie wypijają nagromadzoną w roli wilgoć, tak bardzo dla roślin potrzebną, wreszcie ocieniają je zbytecznie, zasłaniając sobą promienie słoneczne, których uprawne rośliny tak bardzo łakną. Szkody więc wyrządzone przez chwasty są wielorakie, a najcięższą bodaj z nich jest to wypijanie wilgoci z roli i zabieranie osiadającej w lecie rosy ożywczej.

Kobieta.



Dużo się mówi i pisze
na temat kobiety,
Gdybym był malarzem
tobym tak — niestety
Wyraził na płótnie
me zapatrywania:
Tło tęczowe, zaś w środku
wielki znak pytania.

Kazimierz Ziejka.

KRONIKA.

Napad bandytów na pociąg. Miasto Stryj i okolica zaalarmowane zostały wieścią o zuchwałym napadzie uzbrojonych w rewolwery bandytów na pociąg osobowy zdążający z Mikołajowa do Stryja. W przepełnionym pociągu osobowym koło stacji Piaseczna w jednym z wagonów III. klasy powstało nagle z miejsc trzech mężczyzn i dobywszy rewolwerów, zażądali od pasażerów pieniędzy i kosztowności. Pasażerowie podnieśli krzyk, a bandyci, przestraszywszy się, porwali jednemu z pasażerów kilka złotych i rzucili się do ucieczki, z wagonu do wagonu. Wreszcie na ostatniej platformie obok parowozu zatrzymali się i zamknąwszy drzwi, rewolwerami grozili każdemu, kto chciał je otworzyć. Dopiero na stacji Wilczo-Wolica, gdy pociąg się zatrzymał, bandyci szybko wyskoczyli z wagonu i rzucili się do ucieczki w głąb lasów położonych obok stacji. Władze policyjne zarządziły pościg.

Śmiertelne ryzyko więźnia. Pasażerowie pociągu, zdążającego onegdaj do Drohobycza, byli świadkami niezwykłej sceny. W jednym z przedziałów wagonu trzeciej klasy posterunkowy Tomasz Wolski z powiatowej komendy w Bochni, konwojował więźnia Michała Huka z więzienia w Wiśniczu. Huk miał być osadzony w Zakładzie karnym w Drohobyczu, Gdy pociąg zbliżał się do stacji w Drohobyczu, nagle Huk, jakkolwiek był skuty, zdołał przez okno wyskoczyć z pociągu, będącego w pełnym ruchu. Upadłszy na plant kolejowy, podniósł się i począł dalej uciekać przez pole w kierunku lasu. Zaskoczony tym faktem posterunkowy Wolski zatrzymał pociąg przy pomocy linewki, poczem za uciekającym Hukiem dwukrotnie strzelił ze swego karabinu. Strzały jednak chybiły. Wolski puścił się w pościg za więźniem i ostatecznie zdołał go przytrzymać w lesie. Huk w czasie wyskakiwania z pociągu ciężko zranił sobie czoło, wobec tego w Drohobyczu lekarz opatrzył mu ranę, poczem Huka odstawiono do tamtejszego więzienia.

Ucieczka przed upiorem. Z Warszawy donoszą: Onegdaj w pobliżu hotelu Europejskiego zemdlała na ulicy z wyczerpania niejaka Jadwiga Stępkowska, kobieta w starszym wieku. Po przewiezieniu chorej do szpitala i przywróceniu jej do przytomności okazało się, że Stępkowska przez 10 nocy nie spała i od kilku dni nie przyjmuje pokarmów z obawy przed upiorem. Stępkowska jest kobietą zamożną, wdową, bezdzietną i zamieszkuje wraz z siostrą w pięknej willi w Sosnówce wsi pod Wołoninem. Od dwu tygodni willę p. Stępkowkiej nawiedził jakiś potworny upiór, który krąży po pokojach, przejmując właścicielkę dreszczem przerażenia. Kilka nocy p. Stępkowska nie spała, obawiając się upiora, gdy jednej nocy zasnęła, upiór obudził ją nie pozwalając spać. W ostatnich dniach upiór zaczął odbierać swej ofierze każdą strawę.

Po wiadomości o tej niezwykłej historji policja warszawska zajęła się sprawą i stara się rozwiązać zagadkę, czy rzeczywiście ktoś nie straszy bezbronnej kobiety w samotnej willi, albo czy p. Stępkowska nie ulega halucynacjom na tle nerwowem.

„Obrońcy“ ludu złodziejami. Zapadł wyrok w głośnym procesie o nadużycia w powiatowej kasie oszczędności w Ostrowie poznańskim. Proces ten toczył się przez kilka dni przed tamtejszym sądem okręgowym i wzbudził tem większe zainteresowanie, że między członkami zarządu kasy, oskarżonymi o różne nadużycia jak fałszowanie dokumentów, łapówki, sprzeniewierzenie i t. d., było dwóch wybitnych działaczy P. S. L. Piasta, mianowicie Matyśkiewicz i były poseł tegoż stronnictwa Wojciech Sikora. W rezultacie sąd skazał Ignacego Klimka i naczelnika powiatowej kasy oszczędności na 2 lata więzienia, Matyśkiewicza na 1 rok, Sikorę na 9 miesięcy i Józefa Kubika na 6 miesięcy, resztę oskarżonych sąd uwolnił. W motywach wyroku sąd uznał za okoliczności obciążające w stosunku do Sikory, iż dopuścił się on nadużycia zaufania jako poseł na sejm i członek wydziału powiatowego kasy.

Samobójstwo przez głodówkę. Zamieszkały w Pucku właściciel dwóch kamienic Gotfryd Steege, uprzykrzywszy sobie życie, postanowił z niem zerwać. W dniu 6 maja b. r. zamknąwszy mieszkanie na klucz, położył się do łóżka i rozpoczął głodówkę. Do mieszkania nie wpuszczał absolutnie nikogo. Na wszelkie dobijania nic nie odpowiadał. Dnia 18 b. m. sąsiedzi Steega zaniepokojeni jego uporem zawiadomili o wypadku władze policyjne, które zarządziły otwarcie mieszkania. Wewnątrz znaleziono Steega w stanie kompletnego wyczerpania fizycznego. Przewieziony do szpitala mimo zabiegów lekarskich, w godzinę później zmarł. Niezwykłe to samobójstwo każe wnioskować, że Steeg nie był przy pełni władz umysłowych.

Szpieg żywcem spalony. Z Wilna donoszą: W gąszczu leśnym pod Marjanowem, w powiecie łunineckim, znaleziono zwęglone szczątki ludzkie.



Ślady dużego ogniska wskazywały na to, iż ciało przywiązane do drzewa spalono na specjalnie ułożonym w tym celu stosie. Na podstawie znalezionego w popiele medalika ustalono identyczność osoby zmarłego, którym był niejaki Mikołaj Bobek, szpieg bolszewicki. Dochodzenie ustaliło, że Bobka zamordowała organizacja szpiegowska na powiat piński i łuniniecki. Aresztowany przywódca bandy Zanko zdołał zbiec do Rosji. Z pozostałych członków ujęto Szymona Pałkę i Żeleznego Józefa. Zamordowali oni Bobka, podejrzewając go o zdradę. Sąd okręgowy w Pińsku i sąd apelacyjny w Wilnie po rozprawach przy zamkniętych drzwiach, skazał obu oskarżonych za szpiegostwo i mord łącznie na ciężkie bezterminowe więzienie.

Wybory w Niemczech. W niedzielę dnia 20 maja odbyły się w całych Niemczech wybory do parlamentu i do sejmów krajowych. Największy sukces odnieśli socjaliści, bo na ogólną sumę oddanych głosów w ilości 32 miljony otrzymali przeszło 9 miljonów do parlamentu, a taki sam stosunek do sejmu pruskiego. Natomiast

niemiecko-narodowi (coś podobnego, jak u nas narodowi-demokraci) uzyskali mało co więcej niż ósmą część oddanych głosów przy jednych i drugich wyborach. Dość duży sukces odnieśli również komuniści, gdyż w poprzednim parlamencie mieli 45 posłów, a obecnie uzyskali 54. Polacy nie uzyskali ani jednego mandatu tak do parlamentu, jak i do sejmu pruskiego. Aby otrzymać mandat do sejmu, trzeba otrzymać 40.000 głosów, a tymczasem zgromadzili ich tylko 34.237. Stało się to dlatego, iż szczególniej kobiety polskie obawiały się pogróżek szowinistów niemieckich i do głosowania nie poszły. Oczywiście rodacy nasi pod panowaniem pruskiem poniosą wskutek tego wielką szkodę, gdyż nie będzie ich miał kto bronić przed prześladowaniem niemieckiem.

Eksplozja tanku gazowego. W niedzielę dnia 20 maja b. r. miała miejsce w Hamburgu straszna katastrofa. A mianowicie w zakładach chemicznych Dra Hugona Stolzenberga stało kilka tanków, napełnionych najgroźniejszym z gazów trujących, tak zwanym fosgenem, którego zaledwie pół grama na 1 metr kubiczny wystarcza, aby zatruć śmiertelnie kilka osób. Jeden z tych tanków, widocznie nie dość hermetycznie zamknięty, eksplodował, przyczem gaz w stanie płynnym rozlał się i chmura zabójcza uniosła się w powietrze. Straszna trucizna natychmiast zaczęła działać: ludzie owiani fosgenem, wili się w boleściach i padali, jak muchy. W gospodzie portowej zabawiało się towarzystwo, jako uczestnicy uroczystości weselnych, i prawie wszyscy padli ofiarą katastrofy. Na szczęście wiatr pędził chmury w odwrotnym kierunku od miasta, wskutek czego katastrofa nie przybrała takich rozmiarów jakie przybrać mogła. Mimo to 9 osób padło trupem na miejscu, a 250 w stanie groźnym odwieziono do szpitali.

Dziwne zjawisko. O dziwnem zjawisku donoszą z wioski bawarskiej Wasserburg. Oto nieprzeliczone chmary małych, czarnych muszek obsiadły mury kościoła tej wioski i pobliskiego cmentarza, tworząc na nich grubą, zwartą, czarną pokrywę. Od czasu do czasu muszki zrywają się z murów, które obsiadły i opuszczają się na ziemię, wprost tamując dojścia do świątyni i cmentarza. Owady te zjawiły się nagle i dotychczas nie zdołano stwierdzić ich pochodzenia

Dziwny kult dla św. Antoniego. Duchowieństwo rzymskie zauważyło dziwną formę kultu dla św. Antoniego, objawiającą się od pewnego czasu w licznych kościołach wiecznego miasta. Przed obrazami i figurami św. Antoniego klęka stale po dziewięć osób i pogrąża się w modlitwie. Skoro jedna z modlących się osób podniesie się i zaprzestanie modłów, natychmiast ktoś z oczekujących na opróżnienie miejsca w tej stałej dziewiątce, wypełnia powstałą lukę, tak, że liczba modlących się stale przedstawia grono dziewięciu pobożnych. Dziewiątka tak pielgrzymuje po kościołach i odprawia modły tylko do św. Antoniego. Ojciec św. zabronił tych manifestacyj religijnych i nakazał proboszczom wydalanie osobliwych maniaków z kościoła.

Niezwykły skutek wymowy. Pewien młody adwokat francuski zaręczony był — opowiada jeden z dzienników paryskich z młodą, piękną panną i miał ją wkrótce poślubić. Niemal jednak w przeddzień ślubu musiał stawać w sądzie, jako obrońca trzydziestoletniego mężczyzny, oskarżonego o otrucie swych rodziców. Sprawa przedstawiała się bardzo źle dla oskarżonego, toteż po mowie prokuratora, młody obrońca miał niezmiernie trudne zadanie do spełnienia, gdy nagle ujrzał wśród publiczności swą narzeczoną z rodzicami. Podniecony tym widokiem, zaczął mówić tak wymownie, z takiem przeświadczeniem o niewinności swego klijenta, przyczem przedstawił go w tak korzystnem świetle, jako człowieka dzielnego i uczciwego, że gdy skończył, przysięgli odpowiedzieli przecząco na wszystkie punkty oskarżenia, wobec czego sąd musiał uwolnić oskarżonego od winy i kary. Przepełniony dumą z odniesionego zwycięstwa i radością, że tak dzielnie spisał się wobec ukochanej, adwokat nasz podąża wieczorem rozpromieniony do przyszłych swych teściów. Jakże się jednak zdziwił, gdy narzeczona przyjęła go bardzo zimno, a rodzice jej byli widocznie zakłopotani widokiem gościa. Pyta więc wkońcu ojca panny, co ma oznaczać to chłodne przyjęcie.

— Kochany przyjacielu — odpowiada na to, westchnąwszy ojciec panny — jestem zmuszony powiedzieć ci, że córka moja kocha kogo innego...

— Kogo innego! ? — woła zdumiony narzeczony. — Któż jest tym człowiekiem?

— Jest nim — rzecze niedoszły teść — ten dzielny, zacny człowiek, którego wymowa twoja przywróciła dzisiaj społeczeństwu!

Rekordowy zabójca. Na przedmieściu francuskiego miasta Vienne (w departamencie Izery) mieszkał od lat kilkunastu niejaki Nikran Menhikianc, Ormianin, który się tam osiedlił w czasie europejskiej wojny. W kilka lat po jego zagospodarowaniu się w Vienne i po założeniu warsztatu szewskiego, żona jego zniknęła z domu i nazywało się wówczas, że wyjechała do rodziny swej zamieszkałej na Kaukazie. Menhikianc pozostał ze swą 7 letnią córeczką. Cieszył się on jak najgorszą opinją u sąsiadów, był bowiem nałogowym pijakiem i awanturnikiem, a prócz tego spokojnych jego sąsiadów oburzało do żywego postępowanie jego w stosunku do córeczki, nad którą znęcał się w nieludzki sposób. Gdy więc napomnienia w tym względzie nie miały żadnego wpływu, zawiadomiono policję o zwierzęcych czynach tego wyrodka i Ormianin otrzymał ostrzeżenie, że o ile nie zmieni swego postępowania, dziecko zostanie mu odebrane. Od tej chwili Manhikianc począł bardziej jeszcze torturować nieszczęsne dziecko, a gdy razu pewnego zranił je młotkiem został aresztowany. W trakcie przeprowadzonego śledztwa wyszły na jaw zupełnie niespodziewane szczegóły. Okazało się oto, że człowiek ten pełnił funkcje kata w bolszewji, a śród papierów jego znaleziono „zaświadczenie“ podpisane przez generała Andronikowa, stwierdzające, że „do chwili wystawienia niniejszego świadectwa (24 grudzień 1918) wykonał on 364 egzekucje na skazanych na śmierć“. Manhikianc potwierdził z wyraźną dumą, że jest to prawda i chwalił się tą rekordową cyfrą, a na uwagę jednego z urzędników, że zgładził on „prawie“ tylu ludzi, ile dni jest w roku, odparł:

— Nie prawie, lecz akurat, albowiem 365 tą była żona moja, której przed pięcioma laty odrąbałem głowę siekierą.

Władze sądowe posiadły pewne wątpliwości co do stanu umysłowego tego człowieka-zwierza i na razie został on oddany pod obserwację lekarską.

Dookoła świata na jednej nodze. W 1918 roku drukarz paryski, Pattigny, został przejechany przez ciężki autobus. Biedakowi amputowano lewą nogę powyżej kolana. Po wyjściu ze szpitala Pattigny został bez środków do życia, tembardziej, że szofer autobusu i świadkowie twierdzili, iż nieszczęście było spowodowane własną nieuwagą drukarza, któremu nie przysługiwało więc żadne odszkodowanie. Pattigny nauczył się grać na kilku instrumentach i zdradził prawdziwy talent muzyczny, zwłaszcza do gry na saksofonie. Podjął więc niezwykłą podróż na jednej nodze, dookoła Francji z początku, a kiedy widział, iż towarzyszy mu znaczne powodzenie,

postanowił obejść cały świat na jednej nodze. Pattigny zwiedził już całą Europę i obecnie znajduje się w Ameryce, gdzie jest jedną z większych atrakcyj muzycznych hallów nowojorskich. Trzeba więc było aż takiego nieszczęścia, aby zdobyć i fortunę i rozgłos... Niewiele ludzi zgodziłoby się chyba na to.

Co może miłość? W jednym z londyńskich dzienników istnieje rubryka, poświęcona specjalnie romantycznym przygodom czasów dzisiejszych. Oto jedna z autentycznych historyj zaczerpnięta z owej rubryki, Niejaki pan Charlier ubóstwiał pannę Ivettę, która mu odpłacała pięknem za nadobne. Pewnego dnia jednak panna Ivetta wyraziła niebacznie powątpiewanie w odwagę swego ukochanego. Aby przekonać przedmiot swych westchnień o swojem męstwie, pan Charlier zaprowadził ją do menażerji, gdzie kazał się zamknąć w klatce ze lwami. Do osłupiałej z przerażenia panny Ivetty narzeczony zawołał przez kraty:

— Teraz przeczytam sobie tutaj gazetę i wypalę papierosa, ażebyś nigdy nie mogła zarzucać mi tchórzostwa.

Mdlejąc wprost ze strachu, panna Ivetta spoglądała na swego narzeczonego jak kura na kaczęta, pływające po stawie, pan Charlier zaś usiadł, wyciągnął z kieszeni gazetę i zapalił papierosa, podczas gdy lwy przechadzały się dokoła, obwąchując go nieufnie. Kiedy piękne drapieżne stworzenia przekonały się, że przybysz nie ma względem nich żadnych złych zamiarów, spokojnie położyły się i ziewając, ukazywały ostre kły niemej z przerażenia narzeczonej. Po przeczytaniu gazety i wypaleniu papierosa pan Charlier opuścił gościnną klatkę a panna Ivetta przysięgła, że nie spotkała równie mężnego człowieka i poprosiła go natychmiast, aby miał dość odwagi na zaprowadzenie jej do ołtarza. Z tej próby pan Carlier również wyszedł zwycięsko i obecnie spoczywa na laurach swego bohaterstwa.

Armja wiecznego śmiechu. Od trzech lat istnieje i rozwija się w Anglji i w Stanach Zjednoczonych Towarzystwo założone przez szkockiego pastora Williamsa Ed. Bootha. Nosi ono nazwę: Armja wiecznego śmiechu. Szkocki profesor czytając Pismo św., doszedł do wniosku, iż największym grzechem na świecie jest... smutek, ojciec wszelkiego zła, przyczyna niepowodzeń, a nieraz i zbrodni. Człowiek, pragnący być cnotliwym, nigdy nie powinien się smucić i wylewać łez. Kult śmiechu doprowadził mr. Booth do absurdu, wydając polecenie, aby przy łożu ludzi umierających wyśpiewywano wesołe melodje. Nie dosyć na tem. Pastor Booth obmyślił nowy sposób trupiarni. Leżącemu na marach nieboszczykowi, ubranemu w balowy strój, grają muzykanci najmodniejsze tańce i arje z operetek, a wokół pelno kwiatów — a ściany przybrane zielenią. Od czasu do czasu zjawia się kuplecista i śpiewa wesołe piosenki. Po pogrzebie zaś schodzą się krewni i przyjaciele na zebranie, które nieodmiennie zakończyć się musi tańcami — trwającymi aż do białego dnia. Założyciel „Armji śmiechu“ twierdzi, iż stowarzyszenie jego rozwija się bardzo pomyślnie i codziennie zyskuje kilkudziesięciu nowych członków. Może to i prawda, ale gdyby to było prawdą, znaczyłoby to, że dość jeszcze głupich ludzi na świecie.

Prawo „krwawej zemsty“. Z Sydneju (Australja) teraz dopiero dochodzą szczegóły potwornej bitwy między dwoma plemionami ludożerców papuasów, zamieszkałych na wyspie Morigio w pobliżu Nowej Gwinei. Było to około Bożego Narodzenia ubiegłego roku. Wybuchły podówczas spory między dwoma plemionami papuasów z tego powodu, że dziesięciu mężczyzn jednego z tych plemion zostało na obszarze drugiego plemienia schwytanych i zamordowanych. Jak wiadomo, u papuasów istnieje prawo krwawej zemsty. Toteż pokrzywdzone plemię poruszyło wszystkie plemiona sąsiednie, które przybyły ze wszystkich stron na setkach łodzi. Doszło też między ścierającymi się stronami do bardzo krwawych i okrutnych walk, które skończyły się całkowitem wytępieniem owego plemienia z Morrigio, które zabiło owych dziewięciu murzynów. Nie na tem jednak polegało zakończenie walki. Zwycięzcy kazali po bitwie porąbać zwłoki pięciuset poległych wrogów, a części tych zwłok zostały doszczętnie zjedzone. Straszliwe te sceny wydarzyć się mogły jedynie dlatego, że z powodu uroczystych świąt angielscy urzędnicy opuścili wyspę. A policja krajowa, złożona z papuasów, która sama wzięła udział w spożywaniu „smakołyków“, oczywiście nie chciała zawiadamiać angielskich władz o tych wydarzeniach.

U tego to plemienia papuasów wytępienie ludożerstwa jest rzeczą bardzo ciężką.



Za wykroczenia jednych przeciwko drugim odbywają się samosądy, przyczem czy kobiety czy mężczyźni bywają gładzeni z zasadzki zazwyczaj za pomocą łuku. Trup takiego nieszczęśliwego murzyna bywa z wielką radością zjedzony.

Ojciec - potwór. O rzadkiej zbrodni zdziczenia i bestjalstwa donoszą nam pisma nowojorskie. Na jednem z przedmieść Nowego Jorku żył niejaki Edgar W. Dors wraz z 12-letnią córką. Wiedzieli sąsiedzi, iż ojciec nie obdarza swego dziecka czułością i często je bije, zwracano mu nawet uwagę na niewłaściwe postępowanie. Napomnienia te nie odnosiły jednak skutku. Aż pewnego razu zauważyli sąsiedzi, iż 12-letnia Emma zniknęła, a gdy Dorsa zapytano, co robi córka, odpowiedział, iż wyjechała do swej ciotki na wieś. Przed kilku dniami wyszła dopiero na jaw okrutna zbrodnia. Dors w przystępie dzikiego szału tak silnie uderzył w głowę swą jedynaczkę, iż zabił ją. Obawiając się odpowiedzialności, wpadł na szatański pomysł. Poćwiartował jej ciało i żywił niem swe dwa wielkie psy. Zdziczałe zwierzęta zjadły dziewczynę w ciągu czterech dni, tak, iż pozostały po Emmie tylko długie warkocze i dwa piszczele, które wyrodny ojciec zamierzał pokruszyć obcęgami i zemleć na proszek.

Oryginalny pogrzeb. Przy dźwiękach kastanietów i tamburynów złożono do grobu donnę Kasyldę Rico z Alikanty. Trumna była przykryta wspaniałym szalem hiszpańskim w jaskrawe kwiaty wyszywanym, a za trumną postępowała młodzież z Alikantu w pląsach i podskokach. Taki wesoły pogrzeb wybrała sobie 80-letnia donna Kasylda, która przez całe życie nie lubiała smutku i płaczu, więc postanowiła w testamencie, że śmierci jej nikt nie weźmie tragicznie. Syn donny Kasyldy musiał jej zaprzysiąc dotrzymanie testamentu.

RZECZY CIEKAWE.

Zmyślność zwierząt.

W nowojorskim ogrodzie zoologicznym prowadzone są obecnie pod kierunkiem dyrektora W. R. Blayera, znanego uczonego nader interesujące badania nad „intellektualnemi“ zdolnościami poszczególnych gatunków zwierząt. Okazuje się, że wbrew powszechnemu mniemaniu, czworonogi słoń zdradza bez porównania więcej rozumu, aniżeli czwororęka małpa, rozumu doskonale posługującego się nietylko mechniczną pamięcią, ale i pewną logiką. Popularny w całym New Yorku słoń Gounda wytresowany został w tak świetny sposób, że potrafił rzuconą mu monetę włożyć do specjalnej skrzynki i dzwonić później na strażnika, aby dał mu w zamian za te pieniądze jakieś smakołyki. Zauważono jednak, że jeśli szczodrość publiczności zawodzi, to Gounda sięga do skrzynki, wyjmuje stamtąd pierwszą lepszą sztukę bilonu, rzuca ją gapiom, otaczającym jego klatkę, otrzymuje ją z powrotem, wkłada znów do swojej „skarbonki“ i uważa się wówczas za uprawnionego do dzwonienia na poczęstunek. By uniemożliwić mu popełnianie takich „nadużyć“, zamknięto skrzynkę, pozostawiając w niej bardzo małą tylko szczelinę, przez którą trąba słonia absolutnie nie była w stanie się przecisnąć. Jakież jednak było zdumienie dyrektora Blayera, gdy po pewnym czasie okazało się, że Gounda energicznie dzwoni, wypuściwszy uprzednio przez mały otwór 10-centówkę, choć przed klatką nie było żywej duszy. Tajemnica się wykryła: słoń nie wszystkie monety umieszczał w skrzynce, pewien ich bowiem zasób trzymał w ukryciu, chowając „oszczędności na czarną godzinę...“

Polski majątek narodowy.

Według szacunku krajowego polski majątek narodowy wynosi 88,41 miljardów złotych, według zestawień zagranicznych 80 do 85 miljardów.

Majątek byłego zaboru austrjackiego i b. Kongresówki szacowany jest na 60,64 miljardów złotych. Majątek byłego zaboru pruskiego wyraża się cyfrą 22,5 miljardów, zaś majątek kresów wschodnich = 5,27 miljardów.

Dla porównania podajemy cyfry majątku narodowego kilku państw europejskich, według nowego szacunku. Majątek Niemiec 417 miljardów, Anglji 366 miljardów, Rosji 303 miljardów i Włoch 113 miljardów.

Polska posiada długu 3 miljardy 583 miljonów złotych wewnątrz, a zagranicą 3 miljardy 268 miljonów złotych czyli 367 miljonów dolarów. Razem z niedawno zaciągniętą pożyczką 72 miljony dolarów ogólne zadłużenie Polski wynosi 474 i pół milj. dolarów, co wynosi na głowę około 16 dolarów. Obciążenie to jest 50 razy mniejsze, niż w Anglji, a 28 razy mniejsze niż we Francji.

Rosja winna Polsce 1.336 milj. zł. na mocy traktatu zawartego w Rydze. Pieniądze te należą się nam za tabor kolejowy, udział ziem polskich w życiu gospodarczem Rosji i z tytułu rozrachunku państwa rosyjskiego.

Przyrost ludności w Polsce.

Niezmiernie ciekawe są dane statystyczne, dające pojęcie o zwiększającem się tempie przyrostu naturalnego ludności w Polsce w ciągu kilku lat ostatnich. Weźmy naprzykład rok 1919, czyli pierwszy po wojnie europejskiej i pierwszy rok wojny z bolszewikami, i porównajmy go z r. 1926, kiedy rozwój gospodarczy Polski zaczyna wchodzić na normalne tory. Otóż w roku 1919 w woj. łódzkiem przyszło na świat 80.729 dzieci, zgonów natomiast zanotowano 54.977. Nadwyżka urodzin nad zgonami, czyli przyrost ludności wynosił zatem 25.752. W r. 1926 liczba urodzin wynosi 79.280, a liczba zgonów 41.440, co daje przyrost — 37.840 dusz. W woj. poleskiem w r. 1919 urodzin było 21.099 i zgonów 24.804, czyli zmarło o 3.710 więcej niż przyszło na świat. W r. 1926 zgonów notowano 20.450, a urodzin 47.970, czyli o 27.520 więcej niż zgonów. W woj. wileńskim, w najcięższym było urodzin 21.094 i zgonów 24.804, zaś w r. 1926 urodzin było 39.659, zgonów — 18.920, co daje przyrost 20.739 dusz. W woj. Śląskiem naturalny przyrost ludności wynosił w r. 1923 — 67.647 dusz, zaś w r. 1925 — 73.436 dusz. Podobny stosunek zachodzi i w innych województwach polskich.

Cyfry powyższe jaśniej niż najbardziej przekonywające rozumowania świadczą o stałym wzroście dobrobytu w kraju. Polska rośnie, — z roku na rok przybywa jej coraz więcej ludności.

Przysmaki Chińczyków.

W jednym z klasztorów buddystycznych w Chinach przyrządzają co 7 lat specjalną zupę z kapusty. Najstarszy kapłan klasztoru poświęca tę zupę w ten sposób, że kąpie się w niej przez godzinę podczas gotowania. Tysięczne rzesze pielgrzymów podążają do klasztoru na „święto zupy“, której spożycie oczyszcza od grzechów.

Do przysmaków chińskich należą: suszone szczury, które są również polecane na porost włosów. Słodziutkie białe myszki, polane syropem. Należy je połykać jak ostrygi. Gotowane koty, które są podobno doskonałym środkiem na spadek gorączki. Stare, czasami stuletnie w wapnie przechowywane jaja, należą w Chinach do ulubionych potraw. Mech, rosnący w tundrach, jest wyśmienitą jarzyną.

HUMOR OBRAZKOWY.



— Cy to ty, synacku, cy to ty?

Zarząd Kursów rolniczych im. Staszica w Warszawie podaje do wiadomości osób zainteresowanych, że doroczny Zjazd uczestników tych Kursów odbędzie się w Warszawie w dniach od 11-go do 16-go Czerwca r. b. Zjazd połączony jest z egzaminem ustnym, który odbędzie się w lokalu Kursów, ulica Składowa Nr. 3 (Gmach Szkolny Muzeum Przemysłu i Rolnictwa), dnia 13-go i 16-go Czerwca. Równocześnie, z powodu licznych zapytań, Zarząd Kursów niniejszem wyjaśnia, że pokazy chemiczne, które odbędą się podczas Zjazdu i które organizowane są specjalnie dla uczestników Kursów im. Staszica, stanowią skrócony, przystępnie wyłożony Kurs chemji rolnej i obejmują prawie wszystko, co każdy inteligentny rolnik z chemji wiedzieć powinien. — Aczkolwiek koszty, związane z urządzeniem tych pokazów są znaczne, uczestnicy Zjazdu korzystają z nich zupełnie bezpłatnie.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Adolf Liebeskind** w K.: Opłata kartki korespondencyjnej wynosi 15 groszy; o ile ktoś mniej opłaci, musimy dopłacać podwójną należytość. — **Leon Kowalczuk** w B.: Pierwsze dwie zwrotki nadesłanego wierszyka dobre, następnie zaś nie. Wobec tego nie może być drukowany. — **Wincenty Kuglin** w K.: Nowelę otrzymaliśmy. Po przeczytaniu jej zadecydujemy, czy będzie drukowana, czy nie. — **Jan Ligocki** w K.: Poprzednio żalił się Pan, że za marzec i kwiecień „Roli" wcale nie otrzymał. Zażalenie skierowaliśmy do dyrekcji Poczt, na co otrzymaliśmy odpowiedź agencji pocztowej Koniaków, że Pan otrzymał egzemplarze, a dlaczego się spóźniły, kierownik tej agencji nie wie. Dziwna rzecz, że spóźnione egzemplarze „Roli" przyszły do agencji właśnie wtedy, kiedy i zażalenie z dyr. Poczt. W zażaleniu obecnem Pan pisze, że znów nie otrzymuje „Roli" i żeby Panu adres przepisać do Istebnej, bo tam lepszy „porządek". Postaramy się u władz pocztowych, aby ten porządek nastał, i w agencji Koniaków. Prosimy o trochę cierpliwości i prosimy napisać, które numery ma Pan zniszczone i których Pan nie otrzymał, prześlemy powtórnie. — **Tadeusz Michnik** w C.: Przypuszczamy, że opóźnienie „Roli" więcej się nie powtórzy. Za nowego prenumeratora dziękujemy i wzajemnie pozdrawiamy. — **Józef Nowak** w C.: Pytaliśmy się o taką książkę w kilku księgarniach, ale tylko w jednej jest do nabycia za cenę 6 zł. 50 gr. tańszych mniejszych niema. Nabyć ją można w księgarni Krzyżanowskiego w Krakowie. Cześć! — **Stanisław Zelek** w K. M.: Prosimy przysłać znaczki pocztowe na opłatę listu poleconego, a dowód czekowy odeślemy Panu z powrotem. W liście zwykłym przesyłać go Panu nie możemy.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 25 maja b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 0·97 do 1·95 zł.	Jałownik	od 1·16 do 1·75 zł.
Woły . .	od 1·30 do 1·95 zł.	Cielęta .	od 1·27 do 2·20 zł.
Krowy .	od 0·83 do 1·85 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·90 do 2·25 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·38 do 2·9.

Zagadki do nagrody.

1. Rebus.



2. Szarady.

(Ułożył H. Biłka-Głębicki).

I.

Pierwszą znajdziecie w greckim alfabecie,
A drugą i drugą mówi małe dziecię,
Całą wszyscy dobrze znacie,
Gdyż ją przed sobą teraz macie.

II.

Proszę trzecie, bez końca i drugie,
Odgadnąć kim był cały?
Choć był wodzem przez lata długie,
To nie dla polskiej chwały.
Trzecie czwartę i część trzeciego — do-
[brze znacie,
Pierwsze, jak nie na piętrze, to w nim
[mieszkacie.

III.

Maciek miał pierwszy drugi i część trze-
[ciego,
Aże go piersi bolały od niego;
Przychodząc raz do kuchni
I tak rzekł swej gospodyni:
„Gosposiu! Trzecia czwarta wisi nad pie-
[cem — wiecie?
To mnie na piersi jajko upieczecie?"
Gospodyni rzecze: „Sprawa jest druga
[czwarta,
Że jajeśnica na piersi nic nie warta".
Jeszcze nie skończyła tego gospodyni,
Jak żebrak z całością wtoczył się do sieni.

3. Układanki.

(Ułożyła Marylka Kalafarska z K.).

Przyimek + litera grecka + zaimek = imię żeńskie.

Daleko + głos zwierząt + samogłoska = imię żeńskie.

Wykonawca śmierci + zaimek licz. mnogiej + litera = miasto polsk.

Duchowny + pierwiastek chem. = rzeka w Tatrach.

Kolor kart + lekarstwo = zdrob. imię męskie.

Przysłówek + żarty = miasto Małopolskie.

Złudzenie + imię męskie + przyimek = imię żeńskie.

Określa czas + człowiek udoskonalony w swej sztuce = zawód.

Samogłoska + poeta polski + zaimek + zaimek osob. = imię żeńskie.

4. Zagadki.

(Ułożył „Yoga" z K.).

I.

Przez — l — przybór kancelaryjny mamy.
Przez — w — chętnie w wieczór gramy.

II.

Przez — g — Wisłą wożą piasek,
Przez — t — znał polski Pasek.

III.

Przez — t — ryby dostarczają,
Przez — k — wodę zamykają.

IV.

Przez — b — domek psa-wartownika,
Przez — r — szybko z ziemi znika.

V.

Przez — t — rodzajem jest pieniądza,
Przez — s — sprząta codziennie służąca.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 9 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 21 „Roli": 1. Logogryf: Stanisław Moniuszko. 2. Szarady: Karpaty, Karawana, antena, Natalka. 3. Przestawianki: Świrski Jerzy, Wolbek Marjan, Korytowski Karol, Solski Eugenjusz. 4. Układanki: Chrzanów, Raba, pawjan, Polska, Karpaty, myśliwy, Bukareszt.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: „Yoga" z K., Franciszek Izdebski z Z., Ks. M. Suchodolski z T., Jakób Cichoń z P., Adolf Liebeskind z K., Jan Lis z Z., Wł. Marko z K. i I. Zajączkowski z St.

Nagrody wylosowali pp.: Ks. M. Suchodolski z T. i Jan Lis z Z.

Wydawca: Feliks Kowalczyk Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Na zebraniu.

— Nie rozumiem, jak pan mógł powiedzieć tak śmiało swemu przedmówcy, że jest osłem?

— Jak mogłem? Przecież to jest mój rodzony brat.



Prawdomówny młodzienic.

— Więc naprawdę jestem pańską pierwszą miłością?

— Naprawdę, przysięgam pani!

— No, to zgadzam się na spotkanie. A czy pan się nie spóźni?

— Ale proszę pani, na żadną rantkę się jeszcze nie spóźniłem.



Spokoju, spokoju!

— Ależ upewniam panią — mówi lekarz — że pani jest zupełnie zdrowa. Potrzebuje pani tylko spokoju.

— Ależ, panie doktorze, a mój język? Proszę tylko popatrzeć.

— Też potrzebuje spokoju...

Wersalskie rozmówki.

— Słyszałem, że pan ma brata — panie doktorze.

— Tak, ale mój brat jest zupełnie do mnie niepodobny.

— Ach! jakże pragnąłbym go poznać, musi być bardzo sympatyczny.



Dzisiejsze dzieci.

— Józiu, dlaczego spóźniłeś się do szkoły?

— Panie profesorze! U mamy rodzą się chłopaki. Dwa już są.



Rachmistrz.

— Jakto? Do ogólnej sumy rachunku dodał pan datę?

— Czas... to pieniądz! Bardzo proszę...

Giełda płodów rolniczych

z dnia 25 maja b. r.

Pszenica .	56·00—56·50	Słoma długa	13·00—14·00
Żyto .	54·00—55·00	Ziemniaki stoł.	8·00—9·00
Owies . .	47·00—48·00	Koniczyna nasienn. czer.	310·00—315·00
Jęczmień .	46·00—47·00	Otręby żytnie	33·50—34·00
Łubin żółty	28·00—2·900	Mąka żytnia	77·00—78·00
Fasola biała	58·00 — 62·00	Mąka pszen.	88·00—89·00
Groch zwyk.	59·00 63·00	Otręby pszen.	33·00—34·50
Siano słodk.	14·00 —15·00	Mąka czerw.	37·00—38·00
Koniczpastew.	28·00—30·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.